



26903

Mag. St. Dr.

P



26903

I Mag. St. Dr.

20
26
30
35
45
50
55
60
65
70
75
80
85
90
95
100

Urbazewski
ZABAWY,

CZYLI

0160

ZYCIE BEZ CELU;
KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH.



w WARSZAWIE 1780.

Nakładem y drukiem MICHAŁA GRÖLLA,
Księgarza Nadwornego J. K. Mci.

Text 833.

20
26
30
31
45
46
213
83

OSOBY.



STAROSTA.

STAROŚCINA.

TERESA, córka Starościny.

CZEŚNIKOWA, przyjaciółka mniemana Staro-
sty.

PULKOWNIKOWICZ, kuzyn Cześnikowy,
konkurent.

REWIZOROWICZ.

LUSTRATOROWICZ. } Przyjaciele Cześnikowy,
SUBDELEGATOWICZ. } y Pulkownikowicza.

ZACNIEWSKI, przyjaciel domowy Staro-
sty.

LUIZA, służąca Starościny.

MICHAŁ, służący Staroisty.

LORENS, lokay.

26903. I.



A K T I.

SCENA I.

Teatrum reprezentuie pokoy Starościny.

STAROSTA, CZESNIKOWA, SUBDE-
LEGATOWICZ, REWIZOROWICZ,
PULKOWNIKOWICZ y LUSTRA-
TOROWICZ.

STAROSTA.

Jakże te godziny między obiadem y ko-
medyą są nudne! nie wiedzieć co ro-
bić.

CZEŚNIKOWA.

Ale iak nudne! chłopcy, bawcie mnie,
Panie kuzynie Pulkownikowiczu, ty cza-
sem bywałeś śmieszny; powiedz co wesołe-
go. Wiesz, że to jest dom, w którym trze-



ba, żebyś się podobał; dziś myślę dotrzeć twego interesu.

STAROSTA.

Ma on też swoje zgryzoty; nie prawda, Pułkownikowiczu?

PULKOWNIKOWICZ.

Nie, y owszem miałbym więcej przyczyn być kontent: wszyscy dziś w Saskim ogrodzie admirowali moje sprzączki, nikt większych nie miał; co to za tryumf miły dla człowieka mającego gust! wielka szkoda, że mnie Starościanka nie widziała jeszcze.

LUSTRATOROWICZ.

Stolnikowna uważała, żeś WM. WM. Pan trochę kulał; musiały cię trzewiki ścisnąć.

PULKOWNIKOWICZ.

Mnieysza o Stolnikowne.

REWIZOROWICZ.

Właśnie też lada parafianka może sądzić o guście człowieka, który woiażował; za granicą się to ludzie formują: trzeba czasem



przycierpieć y kulać, byle pokazać, że człowiek nie darmo swoy czas strawił w cudzych kraiach. Taniec, fryzura, sprzączki, kapelusz modne, toć to jest cel woiażowania człowieka dobrze wychowanego.

CZEŚNIKOWA.

Jużci wy chłopcy modne, ale nie wygodne; mało z was pożytku do zabawy: żebyśmy przynajmniej mogła zebrać partya do tryfety.

Wszyscy razem.

Dobrze, Mościa Dobrodziko.

CZEŚNIKOWA.

Ale czy umiecie przegrać?

REWIZOROWICZ.

Jak los padnie.

CZEŚNIKOWA.

A zapłacić?

LUSTRATOROWICZ.

Jeymość Dobrodzika nieofszacowana w żartach.



CZEŚNIKOWA.

Starosto! każ dać karty; kiedym się już w tę stronę miasta zapędzili, nie chcę do siebie powracać, tu się będę bawić: może też Staroscina skończy swoje nudne zatrudnienie z Teresą, to nas więcej będzie, y ułożemy iaki projekt, czym się bawić.

STAROSTA.

Naylepiej nic nie układać, co przyjdzie do głowy, to zrobimy, byle się bawić.
Ziewa.

Wszyscy razem.

Bravo, oto rada dobra! bawić się, to grunt.

SUBDELEGATOWICZ.

Nic smutniejszego, iak zakładać sobie iaki cel życia; Vivat wolność.

CZEŚNIKOWA.

To mi to ludzie! można mówić, że teraz młodzież uformowana; już tey staroświeczyzny nie widać, co to wszystko kazali się młodym chłopcom mozolić, żeby byli zdadni dla krain; niech się z krajem dzieje, co chce, byle się bawić.



SUBDELEGATOWICZ.

Oyciec mój chciał koniecznie, żebym ja się uczył prawa: na co mnie prawo! czyż można z damami o prawie mówić? właśnie bym ja wskorał, żebym z Ładowskim wyjechał na plac u Podczaszanki.

PUŁKOWNIKOWICZ.

A mego oycę staranie całe było, żebym ja był gospodarzem; kazał mi się w domowe interesa wdawać, zachwalał mi spokojność rolniczego życia: ślicznieby mnie był wystawił, gdyby nie matka moja, która była dworka, y wersatka; sprzedała w niebytności tatula kilka fet wołów, mnie pieniądze dała na woiaż, y przejechałem się walenie, zawsze poczta dniem y nocą, nie oparłem się aż w Paryżu, zkąd właśnie te sprzęczki wywozłem, bo tam dostanie różnych towarów: iaki tam ratusz piękny! cały murowany.

LUSTRATOROWICZ.

Co ja, to z moim oycem na funkcyi byłem 1775. roku, aplikowałem się ze wszystkich fil, w jego ślady wstępowałem, w dobrym czasie był Lustratorem, po Jezuitach;



umiał korzystać z okoliczności, to też przecię jest dziś za co bawić się w Warszawie.

REWIZOROWICZ.

Mnie się udało, że oyciec mój umarł, właśnie w ten czas, kiedy uzbierał fumkę, y chciał dać na dobra: matka moja inszych była sentymentow, y lepiej się oboie bawimy, poki stanie.

CZEŚNIKOWA.

Walne chłopcy! siądźmy do tryfety, albo już daymy pokoy, oddam jeszcze z kilka wizyt, (*do Starosty*). Starosto, czy chcesz ze mną iechać? bo ta twoja nudna żona, nie prędko zapewne jeszcze skończy swoje kłopoty; WacPan umiesz żyć, rozumiem, że kiedy ci dama proponuje, żebyś ją akompaniował, to nie odmówił: powinno cię to atandryzować.

STAROSTA.

Jak się Pani podoba; coż mam czynić? trzeba być *du bon ton*; hola!



SCENA II.

MICHAŁ *Kamerdyner, y dawni.*

STAROSTA *do ludzi.*

Czy jest kareta?

MICHAŁ.

Jest zaprzężona, od rana aż do wieczora.

STAROSTA.

Powiedzże tu moiej żonie, że wyiechałem oddać kilka wizyt, powroć w krotce; a ta młodzież, czy poiedzie z nami?

CZEŚNIKOWA.

Tak się spodziewam; chłopcy! kupą za mną, będziemy się lepiej bawić.

PULKOWNIKOWICZ.

Ja mużę ieszcze iechać do Saskiego ogrodu, bo tam dopiero cztery razy dziś byłem.

LUSTRATOROWICZ.

Niemalż tam nikogo, lepiej iedźmy do Ujazdowskiej ulicy na raki.



CZEŚNIKOWA.

To mi to człowiek, co przecie sobie umie jakiś cel życia założyć! bravo na raki, to posilniejszy jak wizyty.

Wszyscy razem.

Na raki, na raki, na raki.

REWIZOROWICZ.

Ale w Saskim ogrodzie dziś lody walne, porzyczkowe.

STAROSTA.

To jest znowu nowa trudność; iak to życie ludzkie zawsze jest podległe odmianie!

Tu razem wszyscy, iedni na lody, drudzy na raki wolaia.

SUBDELEGATOWICZ.

Proszę o głos, kiedy nie masz powszechney zgody, w tak walnym interesie, o toż ia poradzę: mamy po pięć palców u ręki, rachujemy; co wypadnie, tego się chwycić.

CZEŚNIKOWA.

Mądrze mowi; ia będę zaczynala napierwey, na raki, na lody, na raki, na lody, na raki.



Wszyscy.

Bravo, bravo, na raki, na raki. *Odchodzą.*

SCENA III.

MICHAŁ *śam zamysłony, siada na krześle y mruczy.*

MICHAŁ.

Na raki, na lody, na raki.

Co to daley z tego będzie, nie wiem; nie dawno iestem w tym domu, ale nie mogę pomiarkować, co my za życie prowadziemy: miałem przedtym Pana, ktoremu naymiley było zamknąć się w swoim pokoju, nie wiem po co, ale płacił ludziom dobrze, nie miał napaści od dłużników, miał wielu przyjaciół, w zgodzie żył z żoną, dzieci miał grzeczne y dobre, y umarł spokojnie. Dośłużyłem mu do śmierci, żal mi go, teraz się tu dostałem, zawsze huczno, zawsze szukamy czegoś, mało Pan w domu zabawi, mało się z Panią y z córką widzi, Pani Cześnikowa wszystkim rządzi, pełno młodzieży, która nie wiem, czego chce? czego nie chce? biegaia, lataia, gonia coś, y nie mogą dogonić: co to z te-



go daley będzie? nie wiem: ludzie mruczą, woźnicy przeszły zimy umarzło ucho, bo całą noc stał na mrozie w kapeluszu; lokaie narzekają, że już od kilku miesięcy nie płatni; rzemieślnicy toż samo: iak to można weseleć się, a ludzi krzywdzić? ale coż mi to za wesołość? zawsze im czegoś niedostaie. Co to będzie za koniec tego życia? naostatek, jużci to musi być dobrze, boć to przecie Pan, to musi mieć rozum.

SCENA IV.

LUIZA, MICHAŁ *drzymie.*

LUIZA *patrzy na drzymiącego.*

Biedny Pan Michał! śpi, a nie wie, co go czeka, w piękne się ręce dostał! będzie on kontent; a iakiś dobry człowiek, nie wiem czy też zabawny?

MICHAŁ *się porywa ze snu.*

Kłaniam się uniżenie, Jeymość Pannie Luizie.

LUIZA *z miną zkomponowaną.*

Nayniższa Pana Michała? Jegomość ieść? musi go nie być, bo WM. WM. Pan widzę zasypiać.



MICHAŁ.

Ey coż robić! w nocy się mało sypia, we dnie trzeba za pańskimi interesami biegać, odpychać od drzwi kupcow, rzemieślników, którzy się przykrzą o pieniądze, to nie dziw, że sen weźmie; teraz przecie Jegomość odiechał, to mam czas wolny.

LUIZA.

U moiey Pani spokojniejszy życie; cale iej zatrudnienie ieść uszczęśliwienie corki, radaby ją wydać dobrze za mąż, ale gdzież to tych dobrych mężów szukać?

MICHAŁ.

Znam ia bardzo dobrego człowieka; żył w przyiaźni z nieboszczykiem moim Panem, radby się także żenić, ale nie raz też mowię: gdzie to tę dobrą żonę znaleźć? Jeden tylko ma defekt, że nie ma żadnego urzędu, kupić też żadnego nie chce, bo powiada: że poczciwy człowiek powinien zaśluzyc, nie kupować, y że tylko ci kupują, co nie chcą zaśluzyc.

LUIZA.

Ale iak się zowie ten Jegomość?



MICHAŁ.

Pan Zacniewski.

LUIZA.

Pan Zacniewski? a znamy go; bywa tu u Jeymości, ale rzadko, bo iak Jegomość przydzie z temi trzpiotami, iak wezmą się kręcić, białać, to on zaraz odchodzi, ile, że się Jegomości przywidziało, że ten Pułkownikowicz będzie mężem Panny Terefy; ma mieć rodziców bogatych, ale niech Bog broni takiego męża dla tej Panny.

MICHAŁ.

Nie znam iefzcze bardzo Panny, ale co ten Jegomość, to mi się nie podoba; wszyscy ci, których tu widzę, mają minę ludzi, ktorzy nie wiedzą, na co się porodzili, dla tego tylko wstają z rana, żeby w wieczor poszli spać, a wszystko mówią, że się bawią.

LUIZA.

Widzi to moja Pani, ale coż ma czynić? najczęściej też w swoim pokoju siedzi z Panną Terefą; ta społeczność całę im nie do smaku: oto kiedy Pan Zacniewski u nich bawi, to bardzo lubią.



MICHAŁ.

A WM. WM. Panna, co też robisz przez ten czas?

LUIZA.

Ja siedzę y szyję, czasem się też bawię.

MICHAŁ.

A nie tęskno WaćPannie famey? bo co mnie to tęskno.

LUIZA.

Y mnie czasem tęskno.

MICHAŁ.

A gdybyśmy te dwie tęsknice złączyli do kupy, możeby to było wygodniey?

LUIZA.

Może....

MICHAŁ.

Ale WaćPanna masz już może kogo, co swoię tęsknicę z iey tęsknicą złączył.

LUIZA.

Nie mam.



MICHAŁ *biorąc ją za rękę.*

Eyże Panienko! nie szczerze mówisz; te oczki figlują.

LUIZA.

Szczerze. — Ale ktoś idzie. — Wrocę się do moiej Pani, powiem, że Jegomości nie ma, boim się zagadała z WM. WM. Panem, y zapomniałam, że mnie tu po to przyśłali.

SCENA V.

MICHAŁ y ZACNIEWSKI.

ZACNIEWSKI.

Jak się masz, Panie Michale? państwo są?

MICHAŁ.

Jegomości nie masz. Poiechał się bawić.

ZACNIEWSKI.

A podobno prędkiej nudzić: a Jeymość jest?

MICHAŁ.

Była tu dopiero pokoiowa, powiedziała, że jest; zaczęliśmy się już dosyć dobrze rozmawiać, ale Pan przeszkodził do reszty.

ZACNIE-



ZACNIEWSKI.

Bardzo cię żałuję, moy Michale.

MICHAŁ.

Była też y o Panu mowa.

ZACNIEWSKI.

Coż przecie? —

MICHAŁ.

Nie źle; Luiza mówi: że się nasza Jeymość, y nasza Panna Terefa, wcale na Panna nie gniewa.

ZACNIEWSKI.

Nie dałem im przyczyny; iak matkę wiele poważam, tak y corkę radbym widzieć szczęśliwą, bo prawdziwie tego warta.

MICHAŁ.

Jam też com wiedział, tom powiedział, y zapewne to Luiza powie swoiej Pani: czyby wytrzymała pokoiowa, żeby swoiej Pani nie miała powiedzieć wszystko, co słyszy przez dzień?

B



ZACNIEWSKI.

Jeżeliś, moy Michale, dobrze o mnie mówił; to ci wdzięczny jestem.

MICHAŁ.

Powiedziałem wszystko, co wiem dobrego o Panu, ale też y to, co wiem złego, nie zamilczałem.

ZACNIEWSKI.

Nie wątpię, że mam wiele w sobie ułomności, y nie dziwię się, że ie znalazł; boś mnie tak często widywał u swego przestępcy Pana: był to ieden z moich najszczerzszych przyjaciół, przestrzegał mnie zawsze, gdy widział co błędnego. Powiedz mi szczerze, coż przecie złego we mnie widział?

MICHAŁ.

O moy Pan nieboszczyk nigdy tego nie widział, ale co ia, to słyszałem od wielu innych; co Panu dobrze życzą.

ZACNIEWSKI.

Ale coż przecie? powiedz, to się poprawię.



MICHAŁ.

Otoż powiem, że WM. WM. Pan masz blisko trzydziestu lat, żyjesz zawsze między urzędnikami, a żadnego urzędu nie masz; wielu to krytykują.

ZACNIEWSKI.

O! moy kochany Michale! radbym, żebyś mi całe życie nic gorszego nie miał do wymowienia: uspokoy się nad tym, że w moich oczach najpiękniejszy tytuł jest, być pocziwym człowiekiem.

MICHAŁ.

To się też WM. Pan w ten sposób niczego nie doczekasz, a choćby dla postanowienia, to przecie tego potrzeba; ktoż wie! czyby WM. WM. Panu Starościankę dali? a do tego, iak to musi być miło, na pierwszym miejscu u stołu siedzieć, pierwszy kielich za WM. WM. Pana zdrowie: setny ledwo wie, iakieimi sposobami kto stał się urzędnikiem, a w parafii zaraz się pięknie kłaniają, xiądz zaraz wychodzi ze mszą; a dla pocziwości, ktoż co robi? czasem y szklanki wody nikt nie poda u stołu.



ZACNIEWSKI.

Nie łam sobie głowy, moy kochany Michale, nie namowisz mnie; ale dowiedz się, czy można iść do Jeymości? czy przyjmą? jeżeli nie zatrudniona?

MICHAŁ.

Dobrze; ale pozwólże WaćPan, żebym go Stolnikiewiczem nazwał dla mego honoru.

ZACNIEWSKI.

Nie, moy Michale; żebym wiedział, że Pani Starościna tych tytułów, których ja nie mam potrzebuje: tobym się tu więcej nie wracał; znam ja tę Panią dobrze, nazwiy mnie tak, iak mnie zawsze zowiesz, nie wstydzę się za moje imie, ani za moje czyny. Lepiej, że się dziwujesz, za co nie mam urzędu, iak gdybyś się dziwował, za co go mam?

MICHAŁ.

Coż mam czynić? idę: kiedy Pan taki uparty, ale Pani przyzwyczajona do Pułkownikowiczow, Luźtratorowiczow y innych urzędnikow, to ja nie wiem, iak się iey bę-



dzie proście szlachectwo wydawać, ile, jeżeli na konkurenta; co ja tam mam uważać! niech się gniewa, jeżeli chce, ja postaremu powiem, że Stolnikiewicz.

SCENA VI.

ZACNIEWSKI *sam.*

Dobry człowiek, a ma widzę te same dziwaństwa, co wielu innych; koniecznie mnie chce zrobić urzędnikiem, choć żądnym nie jestem: ale nie dziwuję się; bo nawet przejeżdżając przez okopy, pytali mnie się strażnicy, kto jestem? powiedziałem, iak się zowie. To nie dosyć było, koniecznie chcieli, żebym im powiedział godność; zaklinałem się, że nie mam żadney inney, tylko moje imie, y z podziwieniem odemnie odstępili; w kalendarzykach nawet y dyaryuszach, choć oświeceni ludzie, a urzędy dają takim, co ich nie mają; iak się dziwować gminowi? ale nie widać Michała; może Starościna nie przyjmuje: nigdy tak długo na iey rozkazy nie czekałem; wyznaię, że każda trudność w widzeniu Teresy jest mi dotkliwa; nazbyt się przyzwyczaiłem do iey wdziękow, y do iey przy-



miotow; nie wiem, czyby nie czas uymować sobie tey rozkoszy.

SCENA VII.
MICHAŁ, y ZACNIEWSKI.

MICHAŁ.

Opowiedziałem Jeymości; zaraz tu przyjdzie przyjąć WM. WM. Pana, prosi o cierpliwość. —

ZACNIEWSKI.

Zkądże ze mną ta ceremonia? zawsze mi wolno było iść do pokoiu Jeymości; zły to znak, iakąś to oziębłość znaczy.

MICHAŁ.

Jeymość tak powiedziała, że nie może Pana przyjąć w swoim pokoiu.

ZACNIEWSKI.

Milsza mi była poufalsć, niż ta grzeczność.



SCENA VIII.

STAROŚCINA, TERESA y LUIZA,

Wchodzi, y zdaleka się ceremonialnie kłaniają. Zacniewski toż samo, nie wiedząc, co to znaczy.

STAROŚCINA ze śmiechem.

Coż ia to widzę? to Pan Zacniewski.

ZACNIEWSKI.

Tak jest, ten sam, ktoremu zawsze wolno było służyć Pani w iey pokoiu, nie odrywając od przykładnych zabaw.

STAROŚCINA.

A mnie powiedziała Luiza, że iakiś Stolnikiewicz przyszedł.

LUIZA.

Ja tak powiedziała, iak mi Pan Michał powiedział; coż ia temu winna, że nie Stolnikiewicz.

ZACNIEWSKI.

Panie Michale! coż to znaczy?



MICHAŁ *z ambarasem.*

Wyznaię, że nie mogł tego znieść na sobie, żebym tak dobrego Pana, którego tak dawno znam y szanuję, po prostu nazwał u moiej Pani.

STAROŚCINA.

Wiedźże, Panie Michale, że ia takich ludzi, iak Jimé Pan Zacniewski, więcey považam, iak tych, co nic z siebie nie mając, ze czczych tytułow tylko szukaią okrafy.

MICHAŁ.

Ja nie wiem, iak ludziom dogodzić. Prawda, że u mego przeszłego Pana, zawsze Jegomości nazywałem tylko Panem Zacniewskim, y był mu zawsze rad; ale u terażniejszego Pana, nie widzę, tylko Pułkownikowiczow, Rewizorowiczow: bałem się, żeby Jegomości iaka konfuzya nie potkała, iak go nazwę po prostu.

ZACNIEWSKI *ze śmiechem.*

Dziękuję ci, moy Panie Michale, za dobre serce.



TERESA.

Nie dawno w naszym domu, ani moiej matki, ani mnie nie znał dosyć.

ZACNIEWSKI.

Czy tylko ta omyłka nie przeszkodziła Paniom w ich zabawach.

STAROŚCINA.

Już też Teresa skończyła niektóre swoje lekye, bawiła się aflowaniem; ia miałam zatrudnienia domowe, ale ułatwiłam. Moy mąż przyzwyczajony do zabaw uślawicznych, musi go często wyręczyć, żeby mu oddać przykrości nierządu domowego.

ZACNIEWSKI.

Czemuż Pani nie zażyje przyjaciół, którzyby iey ujęli pracy.

TERESA.

Ja nawet nie mogę uprosić matki moiej, żeby pozwoiliła pomoc sobie w zatrudnieniach; każde iey naśladowanie byłoby mi nauką: znam to, że celem życia moiego nie same są zabawy, te dopiero po powinności dopełnieniu mogą być przyjemne.



STAROŚCINA.

Moja kochana Terefo! bardzobym cię krzywdziła, żebyś cię oddalała od poznania przyszłych powinności twoich; cała ostrożność moja w tym zawisła, żeby ci ich przed czałem nie obrzydzić: co dzień mi pomagasz w rozporządzeniu domowym, ale tego nie czuiesz, boś chętnie przywykła; to co czynisz jest dosyć dla płci naszej, jeżeli będziesz miała męża rządowego y znającego delikatność; jeżeli zaś trafisz na męża niedbałego o własne dobro, masz rozum y cierpliwość; ale odwracać będę, ile możliwości, taki los od ciebie, bo znam co kosztuje, y jak mało żon znosić go przystoynie umięją, a radabym cię widzieć najszczęśliwszą, bo sobie podchlebiam, żeś tego warta.

ZACNIEWSKI.

Miło widzieć tę szczęśliwą wzajemność między dobrą matką, y dobrą corką; ustawiczne kareły, dogadzanie próżności, nie są miłością macierzyńską; ale przez przykłady rzędu y cierpliwości, być ustawicznym domowej spokojności wzorem, to jest, co się zowie prowadzić roztropności drogami do ułagodzenia nayprzykrzejszego



życia losu: jeżeli corce należy winzować matki, to y matce corki.

TERESA.

Już ja nie wiem, w czym jestem pomocą matce mojej.

STAROŚCINA.

Nie czyni mi krzywdy, Terefo; wyznaj szczerze, że nic nie taie przed tobą, y że zawsze przytomna jesteś zatrudnieniom moim: nie raz ci przepowiedziałam, co cię za los czeka; wiesz, że oyciec twój nie oszczędza fortuny, wolno mu, bo jego jest własna; nie sarkam na to, ale gotując cię, żebyś się w każdym losie umiała znaleźć szczęśliwą; rozumiem, że ci naybogatszy gotuję pośląg.

ZACNIEWSKI.

Prawdziwie wdzięczem jestem Michałowi, że się stał niewinną przyczyną, tych słicznych cnoty y sentymentu sporów: możebym był tego nie słyżał, gdybym był Panią w iey pokoju nad praktyką tych powinności zastał; bo te zazwyczaj w wielkiej cichości y spokojności widziałem.



STAROŚCINA.

Cichość nie może być zawsze; bo chcąc mieć spokojność, trzeba czasem napomnieć upartych, żeby nie przerywali słodczy rządu. — Terefo! przyznaj się, żeś y ty nie raz wzięła napomnienie; ia nie wiele trzymam o roztropności tych, których nieprzyzwoicie dobrmi nazywają dla tego, że są oziębli, niedbali y słabi; kto chce utrzymać rząd szczęśliwy, musi wszystko widzieć, a wszystko widząc, y z ludźmi nie z aniołami do czynienia mając, musi zganić, lub pochwalić, co sprawiedliwość każe.

TERESA.

Ja tyle wiem, żebym zawsze rada być tak napominaną, iak byłam od matki moiej; bo mi to często wyszło na dobre.

STAROŚCINA.

To jest przynajmniej moim celem: która matka rozumie, że dała doskonałą edukacyą córce, gdy ją kazała uczyć językow obcych, tańcować y grać na klawikorcie; bardzo się myli: mogą te zabawy być wielką pomocą do ośłodzenia przykrych nudów; ale ia przynajmniej wiem z doświad-



czenia, że rząd domowy, który właśnie jest naszey płci powinnością, tyle ma podziałów, gdy go kto chce doskonale pełnić, że często nayprzyjemniejszą zabawę zastąpić może, bo skutki iego są nayspewniejszą przyczyną trwałego szczęścia. — Jeżeli zaś te powierzchowne ozdoby mają samey prożności być siłami; bardzo przemieniając dają rozkosz, a bardzo pewne y długie gotują cierpienie, chociażby w nayobfitszym losie. Wiele żon narzekają na swoy los, a nie zważają, że często same są przyczyną, bo się w tym losie znaleźć nie umieją, y ośłodzić go przez rozum.

SCENA IX.

LUIZA, y dawni.

LUIZA.

Jegomość przyśłał, że czekać będzie Pani w Saskim ogrodzie, gdzie Pan Pułkownikow daie lody y puncz.

STAROŚCINA.

Niechże przeprosi mego męża, że nie mogę być; bo, bo, bo, bo, słaba trochę



jestem; y moia corka ieszcze czeka na lekcyą historyi Polskiej.

LUIZA.

Ale ten lokay powieda, że tam dużo ludzi, na klarynetach grają bardzo wesoło, officerow pełno, y Pani Cześnikowa.

STAROŚCINA.

Terefo! czy chcesz, żebym iechała? oddaę ci to do woli.

TERESA.

Pozwol mi WaćPani Dobrodzika, żebym iey tu służyła; nie chciałabym opuścić moiey lekeyi: właśnie jestem w tey części historyi, kiedy Polska tak szanowana była od wszystkich narodow; radabym znaleźć co na pochwałę płci naszey, że umiała ożywiać y zachęcać ducha rycerskiego: bo zda mi się, że to powinnyby być celem edukacyi naszey, jeżeli we płci męskiej chcemy widzieć obrońcow naszych, y ludzi do społeczeńości szacownych.

STAROŚCINA.

Więc powiedz Luizo, że nie możemy być.



ZACNIEWSKI.

Przykładna jest chęć poznania historyi tym celem, który dopiero słyshałem z ust Terefy.

STAROŚCINA.

Mnie się zdaie, że iedna z przyczyn monych, dla czego w Polsce mało widać prawdziwych obywatelow, jest ta: że cała edukacya mężczyzn jest obrocona na podobanie się kobietom, a kobiety nie są dosyć oświecone wiadomością dzieciow własnego kraju, żeby im się tacy tylko ludzie podobać mogli, którzy sławę y dobro iego mają za cel: rozumiem, że w dawniejszych wiekach choć mniej było wdziękow, musiało być więcej czułości w płci naszey. Polacy dawni, gdy woiażowali, rodzice wytyłając za granicę, musieli sobie zakładać iakis cel nauki y doświadczenia, które potym na pożytek własnego kraju służyły. Dziś woiaże więcej śmieźności nałogow, iak oświecenia w powracających do kraju wprowadzają; bo nie mają żadnego pożytecznego dla kraju zamiaru: gdy wychowanie kobiet, albo mężczyzn nie ma za cel dobra powsze-



chnego, tylko próżność, ten musi być skutek koniecznie.

ZACNIEWSKI.

Gdyby takich matek więcej było, iakbyśmy byli szczęśliwi! ta sama chęć podobania się dobrze użytą, mogłaby uszczęśliwiać narody: ale dalekoby nas ta rozmowa zaprowadziła. Powroć tu później, teraz miałbym sobie to za występki, gdybym więcej czasu tak dobrze używanego zabierał.

SCENA X.

STAROŚCINA, TERESA.

STAROŚCINA.

Poydźmy, kochana Tereso, do zabaw twoich; rozumiem, że cię szacunek takiego człowieka, iak Pan Zacniewski, powinien zachęcić.

TERESA.

Ale, jeżeli tylko powroci.

STAROŚCINA.

Powroci, bo obiecał; jeżeliby tu kto przyszedł, powiedzieć, że mnie nie masz, iak



iak się uspokoię, to tu sama przyide. *Odchodzi.*

SCENA XI.

LUIZA, MICHAŁ.

LUIZA.

Czy rozumiesz, Panie Michale, to wszystko, co oni tu gadali? bo ja nie wiele rozumiem: chcą, żeby Panna Teresa uczyła się historyi; ja zawsze słyszała, że kiedy kto iaką historyą gdzie zrobił, to wszyscy na niego biją zabić, a oni chcą z tej Panny tak grzecznej historyczkę zrobić.

MICHAŁ.

A to z wyfoka dla ciebie, moja Panno, nie taka to historya, iak WacPanna rozumiesz; są to iakieś historye dawne w książkach drukowane; ale kto to tam wie! czy to prawda, czy nie prawda: ci Panowie czasem nie wiedzą, co się w ich domu dzieje, a chcą wiedzieć, co się przed kilka set lat na świecie całym działo.

LUIZA.

Mój Panie Michale! iaby też rada iaką historyą umiała; czasem moja Pani nie mo-



że usnąć, tobym iey prawila; możeby to pomogło na sen: żebyś mnie WaćPan iakiey nauczył, bardzobym WaćPanu dziękowała; ia widziałam nie raz przez okno, iak WM. WM. Pan niebofzczykowi Panu swemu książki nosił, to WaćPan musisz być bardzo mądry.

MICHAŁ.

A iużci dał Pan Bog rozum; przecieć człowiek nie darmo iadł y pił na świecie.

LUIZA.

Czy był WaćPan w szkole?

MICHAŁ.

W samey szkole nie byłem, alem bardzo blisko szkoły mieszkał.

LUIZA.

Coż też to tam robią w tych szkołach?

MICHAŁ.

A różne rzeczy, różne rzeczy. (*na stronie*) Co iey tu powiedzieć, kiedy ia sam nie wiem.



LUIZA.

Ale coż przecie, czy kwiatki? czy kornety?

MICHAŁ.

Bardzoś ciekawa, moia Panno, bardzoś ciekawa; iam przyśiągł na sekret, że wynidę ze szkoł, a nie będę mówił o szkole, iakbyñ tam nigdy nie był.

LUIZA.

No, kiedy WaćPan tak dobry do sekretu, to mi WaćPan musisz przynajmniey czytać: mam tu starą książkę; bobym się rada przecie od WaćPana czegoś nauczyła.

MICHAŁ *do ludzi*.

Oy! źle; a ia czytać nie umiem; (*do Luizy*) zkądże to WaćPanna tę książkę wzięła?

LUIZA.

Tu w garderobie na półce leżała.

MICHAŁ *przezwraca książkę*.

A boyże się Boga! moia Panno; to książka zakazana.



LUIZA.

Jak to zakazana?

MICHAŁ.

Nie wolno iey czytać.

LUIZA.

Jak to może być nie wolno? kiedy kto ma oczy, y ma książkę przed oczami; wszak to są kazania: — Xiądz Kapelan zawsze nam ie na wsi czytał, a potym przepiśował, y w inżey parafii za swoie prawil.

MICHAŁ.

Moia Panno! co Kapelanowi wolno, to Kamerdynerowi nie wolno; żeby on też przyszedł Pańskie suknie przerzucać, tobym ia mu nie dał, to też ia się do iego rzeczy nie chcę mieszać, — (do ludzi) udało mi się.

LUIZA.

A to co inżego; y czymże się będziemy bawić, kiedy WaćPan taki skrypulat? był tu przedtym Pan Łukasz, ale on nie był taki skrypulat, y na co więceyby się był odważył.



MICHAŁ.

Y iakże też WaćPannę bawił, ten Pan Łukasz?

LUIZA.

A bardzoś WaćPan ciekawy, ia też przysięgła na sekret, tak iak WaćPan w szkole; dołyć WaćPanu wiedzieć, że mi Pan Łukasz nigdy nie odmowił, kiedy mi się czego chciało.

MICHAŁ.

Czy to tak było, moia Panno?

LUIZA.

Oy! tak, tak, bawiliśmy się bardzo dobrze.

MICHAŁ.

Winśzuję WaćPaństwu. *W tym słyhać dzwonek.*

LUIZA.

Oy! Jeymość dzwoni, byway WaćPan zdrow, przyidę ia tu znou do WaćPana potym; bo kiedy Pana Łukasza nie masz, to mnie musi Pań Michał zabawić. *Odchodzi.*



SCENA XII.

MICHAŁ *Sam.*

No, no; widzę to stworzenie także się lubi bawić; już to bawienie nieszczęśliwe, do wszystkich stanów przeszło; mało kto czyni swoją powinność, bo się wszyscy bawią; to też y kupcy bankrutują, rzemieślnicy zawodzą, y Panowie nie mają czym płacić, bo wszyscy szukają wiatru po świecie, a nikt się nie umie rządzić według swego stanu. — Już sobie ułożyłem w głowie, że się może z tą Luizą ożenię; dziewczyna mi się podoba, rzeźwa; — ale kiedy się już lubi bawić, to nie na żonę. — Człowiekby rad przecię jako grofz zebrać na starość, żeby mieć pokoy w domu, a toby wszystko poszło na zabawy kochanej żonki. — Poydę teraz do Pana spytać się, czy będzie w wieczor w domu, y czym się będzie bawić, co wieczera, to wątpię, żeby była: bo się kucharz z szafarzem poszli bawić, y nic nie przygotowali; potym muszę się spytać, iak dziś będziemy pozbywać wexlowe wizyty: dziś to właśnie dzień straszny; kto tam wie, co się na sądach stało? już tu dziś woźny zaglądał, to nie darmo.



AKT II.

SCENA I.

Teatrum reprezentuje ogród Saski, słychać muzykę na dętych instrumentach grającą różne sztuczki, w głębokości Teatru różne osoby niby po ogrodzie chodzące, z przodu Starosta z Cześnikową siedzi na ławie przy szklepiku, w którym Lemonadę przedają, y cicho mówią z sobą. — Pułkownikowicz, Rewizorowicz, Lustratorowicz, Subdelegatowicz, nie daleko od nich na siótkach, gdy muzyka przestaie:

STAROSTA woła na chłopca roznoszącego puncz.

Daway ieno go tu iefzcze, chłopczyku, wypijmy za zdrowie Cześnikowy.

CZĘŚNIKOWA.

Nayniższa, nayniższa, bez fatygi; ale czy zdrowy puncz po rakach? bobym y ią się napila.

Wszyscy razem.

Vivat Jeymć Pani Cześnikowa, vivat, vivat.



CZEŚNIKOWA.

Ale pfe! chłopcy nie krzyczcie; będą rozumieć, żeście poszaleli dla mnie.

LUSTRATOROWICZ.

Ale za coż nie szaleć? y coż mamy lepszego do roboty? na to żyjemy. —

REWIZOROWICZ.

Ale puzecz walny! ey Podczaszaneczko, szkoda, że cię tu nie masz, ielżczybym wypił za twoje zdrowie.

SUBDELEGATOWICZ.

Wypiymy, kto co lubi?

Wszyscy razem.

Va, va, zgoda, co kto lubi.

CZEŚNIKOWA *wstaie, y kłania się wszystkim.*

Dziękuję wam, moie chłopcy; iacyście wy nieoszacowani! ale co ty, Panie kuzynku, Pułkownikowiczu, toś nie szczery: bo ja wiem, co ty lubisz, y już z kochanym Starostą ułożyliśmy praeliminaria.

REWIZOROWICZ *do ludzi.*

A ona widzę rozumiała, że to o niey mo-
wa; co kto lubi, moia rybeńka.

SUBDELEGATOWICZ.

To wcale stworzenie do lubienia.

PUŁKOWNIKOWICZ *do Cześnikowey.*

Prawda, Mościa Dobrodziko, że lubię to, co kuzynka Dobrodzika myśli; ale ielżczy nie wiem, czy mnie tam lubią, y boię się trochę ambarasu; ielżeli przyjdzie do ślubu, już się nie będę mógł tak bawić.

CZEŚNIKOWA *do Pułkownikowicza, przez ten czas, iak to Cześnikowa moiei, Starosta z drugimi niby cicho-rozmawia.*

Cicho! nie bądź cudakiem; Macierzyńska substancya znaczna, Panna iedynaczka, matka sama się rządzi swoją fortuną, nie marnotrawi, to na was będzie zbierać; a kiedy będzie twoją żoną Teresa, łatwiey temu poradzić, żeby Ichmościow oszukać, a może y kochaną żonkę. — Już tylko się ożeń: — Ja się podeymnię wystawić cię na człowieka; nie takich ja wyprowadzała w pole, iak ten nudny Starosta. *(w tym obra-*



ca się do Starosty) Starostu! przecież ty nieofzacowany jesteś! iak mnie ty bawisz: prawdziwie, uczcie się, młodziukowie, iak damy bawić.

REWIZOROWIEZ.

Alboż to y my nie bawimy? wszak to już szofa waza punczu.

STAROSTA *ziewając*.

Nie można inaczej mówić, tylko żeście zabawni; ale co moiej żony nie widać? iuż tak dawno posłałem, żeby tu z moją córką przybyła do naszej kompanii; bo czasem muszę ją menażować, ma Jeymość Dobrodzika pieniądze.

CZEŚNIKOWA.

Dobrze robisz, Starosto, że menażujesz taką żonę; radabym, żeby przyjechała y Teresa, bobyśmy iuż co zkonkludowali w tym interesie mego Pana kuzyna.

STAROSTA.

Nie tak to tam łatwo, ale ia mąż, a mąż głowa. Tu zaczyna grać muzyka almandę, Cześnikowa minkami przysadnemi zaczyna



tańcować do Starosty; po długim podryganu, Cześnikowa, wachluąc się, mowi: Ah! ah! zmordowała się.

STAROSTA.

Wierzę, wierzę.

CZEŚNIKOWA.

Jak to WaćPan wierzyś? to WaćPan pewno rozumiesz, że ia ciężka.

STAROSTA.

Nie to chciałem mówić, tylko że WaćPani Dobrodzika tańcuiesz z akcyą, y z gracyą; to bardzo morduie.

CZEŚNIKOWA.

Otoż nie morduie; gotowabym jeszcze nie iednego przeskoczyć.

STAROSTA.

Wierzę, bo Pani iak ptaśzek.





SCENA II.

LORENS *Lokaj y dawni.*

LORENS.

Starfza Pani nie będzie, bo trochę słaba,
a młodsza Pani bierze lekcya.

STAROSTA.

Jaką lekcya? o tym czasie po obiedzie.
Coż ta moja żona z tą biedną dziewczyną
robi? na co się te lekcyje zdadzą, czy nie
lepiej się zabawić? ile że lekcyja po obie-
dzie pewna niestrawność w żołądku.

LORENS.

Sama młodsza Pani prosiła. Jeymości, że-
by iey pozwoliła zostać w domu, y lekcyi
nie opuszczać, bo to tam coś ma być bar-
dzo ciekawego: iakaś to tam historyja Pol-
ska, ale nie wiem iaka, tylko że to ma być
bardzo pięknie, bo długo o tym mówili.

CZEŚNIKOWA.

Co? historyja Polska dla Panny? a już też
ta Starościna niewiedzieć po iakiemu edu-
kuie tę corkę! nie dziwowałabym się, żeby



dla tańca, albo dla klawikortu została w do-
mu. Ale dla historyi, y jeszcze dla Pol-
skiej, a pfe! coż to za nudy! y WacPan
oyciec, a pozwalasz na to; cel edukacyi
Panny powinien być, zwracać głowy męż-
czyznom, a cel życia mężczyzn, jest umi-
zgać się y bawić damy.

REWIZOROWICZ.

Historyczkę zrobią z Panny bez potrze-
by, nie miło o tym y słuchać; poydźmy.
Tu młodzikowie odchodzą w ogród.

STAROSTA.

Już ta moja żona nie wie, co to jest
edukacya corki; coby ją miała nauczać, iak
to przecie w kompanii usmiechnąć się, w
czasie okiem mrugnąć, nogę pokazać niby
nie chcący, opisać drugie damy, iak która
była ubrana, iaki miała kornet, iaki kwia-
tek, do kogo się umizgała, kogo oszukaie,
żeby przecie pokazała, że się na tym zna,
y żeby umiała zabawić kompanią, to ona
iey każe uczyć historyi Polskiej; na co się
iey to zda? — rzadko który Polak zna hi-
storyą swego kraju, z kim ona będzie o tym
mówić? chyba z cudzoziemcami?



CZEŚNIKOWA.

Już ja miarkuję, kto to tego narobił; zapewne ten nudny Pan Zacniewski, bo żona WaćPana zawsze go rachuje za bardzo pożytecznego człowieka dla kraju, a on też wszystko iey doradza, co ma z Teresą czynić; ślicznie on ją wyedukuje: będzie umiała historią Polską, a wstążki na głowie nie będzie umiała dobrze przypiąć.

LORENS.

Był tam y Pan Zacniewski.

CZEŚNIKOWA.

Otoż, nie mówiłam ja? trzeba, żebyś WaćPan koniecznie tego człowieka pozbył z domu, tak mówiąc między nami, to y nie przystoi, żeby ten człowiek uczęszczał w dom WaćPana. (*w tym się ogląda*) Ale apropos, gdzie się nasze chłopcy podzieli?

STAROSTA.

Pofzli chodźć w ogrod.

CZEŚNIKOWA.

Kiedy nam nikt nie przefzkadza, umowy co względem wiadomego WaćPanu interesu; ale trzeba łokaia odebrać.



STAROSTA do Lorenśa.

Czekać mnie z karetą u żelazney bramy.

SCENA III.

STAROSTA, CZEŚNIKOWA, *fami.*

CZEŚNIKOWA.

Moy Starosto! trzeba jakiś koniec zrobić; podchlebiam sobie, że moja dla WaćPana powolność zaflużyła, żebyś mi nie odmówił, o co ci dawno już głowę kłocę: znasz mego kuzyna, Pułkownikowicza, chłopiec udatny, szykowny, tańcuie bardzo ładnie, woiażował; co większa, że zawsze dniem y nocą iechał, toć ja rozumiem, że żyźwiejszego chłopca nie możesz pretendować dla swoiey corki za męża: przytym rodzice wkrótce Bogu ducha oddadzą, pieniądze mają; iest prawda kilkoro dzieci, ale drobnych, a ten chłopiec ma obrot, to on potrafi użyć awantazów opieki, ja mu też moiey rady nie odmowię, bo ja iestem bardzo dobra kuzynka; a do tego w tey młodości już iest Pułkownikowiczem, ieżeli stołniami poydzie, zapewne poydzie do znacznego urzędu: nie mogę WaćPanu dać



większego dowodu przyjaźni, iak tę partyą ofiarując dla córki.

STAROSTA *zamyślony.*

Prawdziwie znam to za exces łaski Pani, ale moja żona zostawiła sobie obiecać dla Terefy męża. Ja widzę, że Pułkownikowicz zabawny, przynajmniej całe życie się bawi; jednak bez mojej żony o córce boie się co układać.

CZEŚNIKOWA.

A pfe, Starosto! podle sentymenta, żeby zaś mąż miał się radzić żony; zkądże ci się ta staroświedzyczna wzięła? prawda, że nieboszczyk Cześnik, moy kochany małżonek, nic bezemnie nie robił, ale też wiedział, iaką miał żonę; nie chwając się, iestem wzięta u ludzi, y znam świat, ale WaćPana żona, coż zna? ieżeli ten rząd domowy, te spiżarniane zabawy, te rachunki z Ekonomami, ahi! ahi! gdzie taka kobieta może dać dobrą radę mężom! nie chwale się, ale powinieneś sobie WaćPan winiszować, żeś dostał takie przyziaciolki, iak ia.

STARO-



STAROSTA.

Przyznaję ia to wszystko, Mościa Dobrodziko, ale też y to przyznać muszę, że od-tąd, iakem zaczął pod słodkimi icy przy-iaźni prawami używać świata, wprowadilem się w ambarasy wexlowe, y gdyby nie mo-ia żona, inżbył był nie uniknął niedyskre-cyi tradujących.

CZEŚNIKOWA.

O! moy kochany Starosto! lada bagate-la cię zatrudnia; to Pańska rzecz przewex-lować fortunę: czy wolałbyś, żeby te sple-sniałe dukaty śmierdziały ci pod nosem? fi! porzuć te brudne myśli! decyduj się Staro-stulu dla mego kuzyna; żona WaćPana bo-gata sama z siebie, córka iedynaczka, zro-bisz szczęście dla tego grzecznego chłopca; toć on może w to potrafi, używszy prote-kcji, że żona WaćPana nie będzie długo zawadzać fortunie, a WaćPana obowiąz-e się żywić do śmierci.

STAROSTA *z podziwieniem.*

Mnie żywić do śmierci? smutna perspe-ktywa! tenże to iest cel zabaw naszych, że-bym ia został bez sposobu do życia?

D



CZEŚNIKOWA.

A! moy Starosto! iakifz masz umysł trwożliwy; coż ci to szkodzi? byle się dobrze bawił: fi! nie przystoi mężczyźnie być tak mało odważnym! bierz ze mnie przykład, choć jestem kobieta; wiesz, że mi to nie długo wystarczało, co mi się po mężu zostało, przecież używam świata równo z najbogatszymi, bo mam sposoby y odwagę, y jestem Cześnikowa à la mod.

STAROSTA.

Nie każdy tak szczęśliwy, Mościa Dobrodziko. —

CZEŚNIKOWA.

Ale, moy Starosto! bo nie każdy da sobie czas poznać skrytości sprężyn, ktoremi się ludzie promowują na świecie; wierz mi, tylko mnie słuchay, day córkę memu kuzynkowi, to zobaczysz, iak cię wypromowuję; wiesz z kim jestem w przyjaźni? y w iak ścisley? —

STAROSTA.

Pozwol mi WaćPani Dobrodzika pomyśleć nad tym, bo to chodzi o rzecz; da-



wno też już nie miałem czasu żadney uczy-
nić uwagi, bom się bawił. —

CZEŚNIKOWA.

Otoż cię zostawiam samego, moy kochany Starosto; poydę w ogród naszych chłopcow poszukać; najpierw pomyśl o tym, że, jeżeli dobrze mieć mnie za przyjaciółkę, to bardzo niebezpiecznie mieć mnie za nieprzyjaciółkę; a jeżeli WaćPan odmówi mi, o co proszę, będę wiedziała co z tym czynić: wszak wiesz, że mam głowę, y wiem do kogo trafić, żeby wszystkiego dokazać. *Odchodzi.*

SCENA IV.

STAROSTA *sam, zamysłony.*

Diabelnie daleko zabrnąłem z tą przyjaciółką! ani mi odchnąć nie da, tylko mnie wszystko bawi; prawdziwie ta zabawa stanie za największą pracę! z tą tylko różnicą, że bez pożytku w domu: iak tu wybrnąć z tej galery? kiedy sobie żyłem spokojnie z moją żoną, prawda, że mnie nie iędził na spacer, ale się mnie zdaie, że był szczęśliwy; teraz się wszystko bawię, y bawię, y



bawię ustawicznie, ale gdy powrócę do domu trzeźwo, y pōrachuję się sam z sobą; widzę, że im więcej się bawiłem przez dzień, tym więcej niespokojności zostaie w domu: do czego mnie też tę zabawę zaprowadzą? nie wiem: musi to przecie mieć iaki cel, bo widzę, że się wszyscy bawią, a rzadko kto fantazyją traci, choć wielu, między bawiącemi się, imiona w rejestrze wexlowym widziałem. Prawda, mówi ta Cześnikowa: że trzeba mieć odwagę y czołō, to się wszystko udaie; iednakowoż kobieta rozumna: darmo, już teraz nie czas wrocić się do spokojności domowej, trzeba brnąć, trzeba córkę ażarować za tego iey kuzyna; niech się dzieie co chce, będę się bawił, choćbym się miał y nudzić, trzeba zagałusić tę niespokojność y gryzotę. —

SCENA V.

STAROSTA, MICHAŁ.

STAROSTA.

A iak się masz, Michale? coż tam powiesz? gdzie idziesz?



MICHAŁ.

Do Pana. —

STAROSTA.

A po co? —

MICHAŁ.

Chciałbym wiedzieć, czy Pan będzie u siebie w wieczor.

STAROSTA.

Będę. —

MICHAŁ.

A-wieczera? —

STAROSTA.

Na 12 osob. —

MICHAŁ.

A któż będzie wydawał do kuchni? —

STAROSTA.

Kto? zwyczajnie szafarz. —

MICHAŁ.

Ale kiedy go nie masz. —



STAROSTA.

Gdzież u diabła poszedł? —

MICHAŁ.

Poszedł się bawić. —

STAROSTA.

Pogański syn! co za hultaj! nakoniec to niech odbiła śpiżarnią; czyż trudno o śłofarza? co mi tam takie nudy baiefz?

MICHAŁ.

Mnieyfza o to, ia każę odbić, kiedy Pan tak kaže, — (*odchodzi, y znouu się wraca*); ale, Mości dobrodzieiu! szkoda kłótki, bo to angielska.

STAROSTA.

Idź do diabła z tą ekonomią! co cię moy worek kosztuie? —

MICHAŁ.

Prawda, że mnie nie kosztuie, ale mi żal Pańskiey szkody; bo to śłofarze drodzy.



STAROSTA.

Skończcie te baie. —

MICHAŁ *odchodzi y wraca się.*

Ale, Mości dobrodzieiu! iak się śpiżarnia otworzy, ktoż będzie ieść gotował? —

STAROSTA.

Czyś ofzałal? zwyczajnie kucharz.

MICHAŁ.

Ale kiedy go nie ma w domu?

STAROSTA.

Gdzie się podział?

MICHAŁ.

Daie bal na Pradze swoim kolegom, kucharzom y pafztetnikom, pod wiechą; mają tam być także niektorzy lokaie dystyn-gwowani. —

STAROSTA.

Coż to za proźniacy! —

MICHAŁ *klania się nisko.*

Z przeproszeniem Pańskim, albo to człowiek proźnuie, kiedy się bawi? wszak się



Pan ustawnicznie bawi, — a zawsze smutny, zmordowany powraca do domu, iak gdyby nawięcey pracował.

STAROSTA.

Panie Michale, wara z takimi żartami; nie za panie brat. —

MICHAŁ.

Bez urazy, Mości Dobrodzieiu; ia nie chcę Pana gniewać, choć prawdę mówię.

STAROSTA.

No, idźże sobie już precz, bo ia nie mam czasu o takich bzdurach gadać.

MICHAŁ.

Pozwol jeszcze, Panie, aby słowko.

STAROSTA.

Mów, a nie baw się. —

MICHAŁ.

Oto mnie się zdaie, żeby pewnieysza wieczera była u Jeymości; bo chociaź Jeymość nie bardzo rada tym gościom, co u Pana



bywają, to Panu samemu, wiem, że będzie rada bardzo.

STAROSTA.

Coby ia cały wieczor z moią żoną robił! ia się chcę bawić w moim apartamencie, a Jeymość niech sobie siedzi w swoim, kiedy chce; jeszcze lepiej, nie będę miał subiekcji.

MICHAŁ.

Ale pewnieysza wieczera, y kłótkibysmy nie zepfuli, y kucharz, kto wie, czy powroci; może się bardziej bawi, iak Pan. —

STAROSTA.

Baiefz nic do rzeczy; iak ia chcę, tak niech będzie.

MICHAŁ *odchodzi y wraca.*

Jeszcze mi Pan niech pozwoli iedno słowko.

STAROSTA.

Tylko prędko. —

MICHAŁ.

Jeżeli iacy niespodziewani goście przyjdą, co im powiedzieć?



STAROSTA.

Nie przyjdą, tylko proszeni. —

MICHAŁ.

Ale, bo ja już dziś kilku nieproszonych odprawilem.

STAROSTA.

Jak to? —

MICHAŁ.

Jakiś Subdelegat z woźnym, już kilka razy napierał się do Pańskiego domu; ale iak się dowiedzieli, że Jeymość sama jest, odeszli, ale postawili iednego, który pilnuje na przyjazd Pański; powiadaia, że są od iakiegoś sądu przyśłani na tradycyą, ruchomych y nieruchomych kawałkow Pańskich.

STAROSTA.

Oy źle! Panie Michale; moy kochany Michale, nie puszczay tych gości; prawda, że dziś sprawa przypadała, a ja się bawiłem, y zapomniałem wszystkiego.

MICHAŁ.

To nie muszą być goście zabawni, kiedy ich Pan nie chce puszczać.



STAROSTA.

Biegay, proś moiey żony, żeby nie wychodziła z domu, ia tam zaraz przyjdę; biegay. —

MICHAŁ.

A mam szukać szafarza, kucharza, słofarza?

STAROSTA.

Nie, nie, nie, biegay do domu, pilnuy, nie puszczay, choćbyś miał życiem przypłacić, moy Panie Michale.

MICHAŁ.

Tak to! poki Michał mówił o wieczery, to był prostym Michałem; iak go trzeba, żeby dłużnikow nie puszczal, już ci ow prosty Michał został Panem Michałem. *Odchodzi.*

SCENA VI.

STAROSTA *sam, zamysłony.*

Oy źle! iak się tu wykręcić! to nie żart; dziś termin przypada do zapłacenia 3000. czerw. złotych, a ia szeląga nie mam; co to, to nie bawi. —



SCENA VII.

REWIZOROWICZ, LUSTRATOROWICZ,
WICZ, y SUBDELEGATOWICZ.

REWIZOROWICZ.

A gdzie się podziata Cześnikowa? —

STAROSTA.

Pofzła WaćPanow szukać. —

LUSTRATOROWICZ.

A my też właśnie ięy szukamy; cośmy się tam naśmiali z Podczaszanki, która prożno siła swoje na Staroscica zaślawiła, a on się z tego śmieje, y do Skarbnikowny pali; to trio extra zabawne. —

SUBDELEGATOWICZ.

To frazka, ale ten Reverendus Pater, co się ze szkiełkiem za robranami uwiia między lipami, wart sto tysięcy. —

REWIZOROWICZ.

A ten lichwiarz, co to po trzydziści od sta bierze na miesiąc, iakiu pożądlwym okiem na brylanty Kafztelanowy poziera! znać to z miny iego, że ie już ma za swoje.



STAROSTA *po długim zamyśleniu.*

Muszę ja jednak Cześnikowy poszukać; kto wie, czy ona mi nie poradzi? ta kobieta ma różne sposoby, y sposobiki: (*odchodzi*) naosłatek iey moję córkę obiecuję; tonący brzytwy się chwyta.

SCENA VIII.

LUSTRATOROWICZ, SUBDELEGATOWICZ, REWIZOROWICZ.

REWIZOROWICZ.

Kiedy tu Cześnikowy nie masz, to ona zapewne złapała gdzie Pułkownikowicza, y swata; bo to iey pasya swatać, y intrygować. —

LUSTRATOROWICZ.

Jeżeli ona chce tego frycyka zrobić z wyfoka amorofo, to nam wałą komedią wyprowadzi; ale iakże ona diabelnie tego Starostę wystrychnęła! mówią wszyscy, że ani nadziei nie masz, żeby powstał; co dzień inszy termin wexlowy; a słyszę ma tey zabawki ięzyczne na kilka niedziel. — Wyperfwadowała mu, że ją kocha, on rozumie,



że Starosta powinien koniecznie mieć intrygę, y sie, iak swego.

SUBDELEGATOWICZ.

Jeszcze on fantazyi nie traci, y dziś flyszalem daie nam bardzo zabawną wieszcza w swoim apartamencie, y dobrze, że ta melancholiczna Staroscina u siebie siedzi, bo ona z nami nie umie trzech zliczyć.

REWIZOROWICZ.

Ale Teresa ładna; iabym wolał, żeby ona bywała z nami: nie mażz takiey dziewczyny na świecie, ktoraby nie nadstawiała ucha, kiedy iey kto co słodkiego podyktunie; iuż ia nie raz tego doznałem, a stopniami można ją na wszystko namówić. —

SUBDELEGATOWICZ.

Już ia tamtych pracowitych amatorow nie lubię używać, to jest grunt. —

LUSTRATOROWICZ *ziewając*.

Używać y zabawić się, to jest celem życia każdego edukowanego człowieka. —



SCENA IX.

Dawni, y CZEŚNIKOWA z PUŁKOWNIKOWICZEM, *cicho mówiąc*
wchodząc.

REWIZOROWICZ *do ludzi*.

Nie mówiłem ia, że ona go formuie na amanta? iuż, kiedy szepce, to zapewna iaka intryga w robocie; będzie kontenta ta żona, co z iey łaski będzie miała męża. —

CZEŚNIKOWA.

Jak się macie, chłopcy? a gdzieżście podzieli mego śmiesznego Starostę? —

LUSTRATOROWICZ.

Poszedł Pani szukać, iak żelazo za magnesem, iak słomka za bruzdynem, tak iego serce za Panią. —

CZEŚNIKOWA.

Nie żartuy, nie żartuy, bo on mnie nie-lychanię nudzi: dobrze mieć między niewolnikami taką figurę, bo pożyteczna; ale co nudny, to nudny; kiedy to on chce udawać młodzika y galanta, to wiele warto. —



REWIZOROWICZ.

Ma jakiś interes pilny do Pani, bo się wy-
pytywał, y pódzied szukać po wszystkich
ulicach ogrodu, musi być interes bardzo pil-
ny; ha, ha, ha, bardzo pilny. —

CZEŚNIKOWA.

Już ci on mnie wszystko winien; poka-
załam mu drogę życia, nauczyłam go, iak
się ma bawić, rozłączyłam go z tą żoną, bo
nie nudniejszego nie masz, iak ten mąż
z żoną ustawicznie, iakby już dla mężczy-
zny nie było innych kobiet, tylko żona. —

LUSTRATOROWICZ.

Tego tylko brakuje do przykładowych na-
uk Pani, żeby żonę nauczyła, że są inni
mężczyźni dla niej, procz męża; boby to
czasem y Teresa profitowała. —

CZEŚNIKOWA.

Nie boycie się, poymie to Teresa łatwo,
spodziewam się, że będzie wkrótce moją
kuzyną; ia potrafię zdjąć tę małą indyfe-
rencyi dla chłopców: nie dziwować się, że
jeszcze nic nie umie, bo czego się można
przy



przy takiej matce nauczyć, chyba historyi
Polskiej! to śliczna rzecz, ha, ha, ha.

LUSTRATOROWICZ.

Ha, ha, ha, potrzebna ta historya, iak
umarłemu kadzidło. —

CZEŚNIKOWA.

Przerobię ia tę historyą na bardzo ładny
romans; potrafię ia w to, że nam się będą
ordery kłaniały: nie prawda kuzynku? —

PUŁKOWNIKOWICZ.

Zeby tylko bogate ordery, bo iak ubo-
gie, to te gwiazdy żadnego pożytku do do-
mu nie przyniosą, jeżeli nie będzie komu
banku założyć, ani dla kogo kart nakarto-
wać rozumnie. —

REWIZOROWICZ.

Jakże to? alboż nasz Pułkownikowicz
wstępnie wystan małżeński? —

PUŁKOWNIKOWICZ.

Jeyność ta sobie ułożyła, ma swoje siste-
ma gruntowniejsze, iak Kopernika; ia mu-

E



szę się powodować, bo to moja protektorka. —

SUBDELEGATOWICZ.

Bravo, bravo! a z kim? —

CZEŚNIKOWA.

Z tą niedostępną Teresą, córką Starosły; nie prawda, że projekt rozumny? będziemy się walcie bawić; ale wy chłopcy, hołtyże, wy tylko z łyżką do stołu, trzeba tu opożyteczniejszych znaleźć ciach pomyśleć, możecie mi do tego pomoc, tylko zaczniacie zawczasu chwalić przyszlą moją kuzynkę, że piękna; przed drugimi chwalcie wieczorze, bo są tacy, co ich to prędzej zniewoli, przed innymi mówcie, że jest gra mała dla zabawy; chwalcie bankiera, że bardzo pięknie gra, że sprawiedliwy, y że pięknym złotem płaci: będziecie ślacznie wiecezzerze zjadać. —

REWIZOROWICZ.

W jakimże guście życzyśz sobie Pani gości? czy filozofów?

CZEŚNIKOWA.

A pfe! nie chcę, będą dzikie rzeczy gadać, y zawroć głowę mojej kuzynie



fentymentami; to na intratę nic nie wart. —

REWIZOROWICZ.

To poetow. —

CZEŚNIKOWA.

Tych zrazu trzeba, żeby wstawili piękne oczy mojej kuzyny; bo to wierszyki idyle madrygały wżędzie będą latać, nie jednego zwabia do tego bożyszcza, ktoremu kadzidło dadzą; — iani wiele winna jednemu za odę, przez inne kanały prawda, że mówiąc o pewnych oczach, łatwo mu było o pochwały. —

REWIZOROWICZ.

A gdyby też bankierów, kupców bogatych, wszak to ludzie uczeni? można ich w społeczności widzieć.

CZEŚNIKOWA.

Oy! to, to, to, dobry projekt; tak dobry, iak gotowe pieniądze; znać zaraz człowieka, co gruntownie myśli, to daleko żywniejsze, iak Jaśnie Wielmożna hołota. —



LUSTRATOROWICZ.

Jabym życzył prałatow modnych nie zapominać, y tam gotowizna pewna. —

CZEŚNIKOWA.

Dobrze mówisz; y nad temi dość iawnie w tym wieku nasze wdzięki panią; proszę o nich: zdrożeją może śluby, rozwody, y pogrzeby, ale nasz pożytek. —

SCENA X.

STAROSTA *y dawni.*

STAROSTA.

Ah! Mościa Dobrodziko! wszak ia to Pani szukam, iak mego słońca, ktorego promienie bardzo mi są dziś potrzebne. —

CZEŚNIKOWA.

Wierzę, wierzę, moy Starosteniku; nie odmawiam ci, ile możności, tego luminia-rza posiłkow.

STAROSTA.

Ale czy nie moglibyśmy na osobności mówić? bo to rzecz jest wielkiej wagi.



CZEŚNIKOWA.

Nie strzegę się prawda nigdy tych chłop-cow, bo są dobrzy do sekretu; ale ponie-waż Waćpanu tak pilno, żebyśmy tylko sa-mi byli; gotowam to uczynić: chłopczyki, chłopczyki, idźcie sobie pobiegać, szpieguj-cie te subiekta, o których mówiliśmy, bo ia tu muszę ze Starostą serio pomówić; widzę że Jegomość ma iakieś projekta niefpodzie-wane. —

REWIZOROWICZ.

Dobrze, Mościa Dobrodziko; Mości Sta-rosto, bez subiekcyi, tylko bez nayinniejszey subiekcyi. *Odchodzi.*

SCENA XI.

STAROSTA y CZESNIKOWA.

STAROSTA.

Ah! Pani, ratuy, zmiłuy się! —

CZEŚNIKOWA.

Ale mnieysza o to, zaraz, czy tak pilno?



STAROSTA.

Dziś powinienem zapłacić wexel na Cz: Zł: 3000, a żadney gotowości nie masz; chcą mi wszystko tradować, już w domu czekaią na mnie. —

CZEŚNIKOWA.

O to to chodzi? prawdziwie z miny Wać-Pana porywczey, wcale co innego sądziłam; aż mi gorąco. —

STAROSTA.

Czy nie mogłaby mi Pani dać iakiey rady?

CZEŚNIKOWA.

Mam ia tu iednego przyjaciela, ktory, wiem, że ma pieniądze; ale trzeba zrobić facyendę, bo inaczey nie da. —

STAROSTA.

Już na wszystko rezolwowany iestem, byle się ograć tey biedzie. —

CZEŚNIKOWA.

Trzy tyfiące Czerwonych Zł: to bagatela; będzie ie miał zapewne ten zacny czło-



wiek, ale mu trzeba będzie dać wexel na 6000 Czerwonych złotych; trzeba zdublować sumę, kiedy pilno, a on Wać-Panu wreszcie da karetę Gdańską, zegarek Stambulski, pierścioneł, karabełę, kilkanaście beczek soli, y inne fanty; ktore się zawsze zdadzą, y 3000 Czerwonych złotych w gotowiźnie. Dawszy mu wexel na Cz: Zł: 6000, trzeba mu będzie regularnie płacić po trzydzieści od sta na miefiąc, — bo to sumienny człowiek, nie będzie więcej wyciągał — aż do terminu.

STAROSTA.

A jużci, kiedy brnąć, to brnąć: coż czynić?

CZEŚNIKOWA.

Y Wać-Pan to nazywał brnąć? powinien byś sobie winfzować, że na tak sumiennego człowieka trafisz: spytawieno się Wać-Pan innych, iak lichwiarzom płacą.

STAROSTA.

Już na wszystko przyślaię, bylem zawodu nie miał: dobrze y iaki tydzień spokoyności, choć drogo kupić.



CZEŚNIKOWA.

Właśnie go tu widziałam: poszukam go, może się z nim spotkam, to WaćPanu tę przyługę uczynię, żeby mi dał dowód, że umiem być przyjaciółką; spodziewam się, że to zobowiąże WaćPana, iżże większą znajdę w nim łatwość dla projektów mego kuzyna.

STAROSTA.

Wszystko, co Pani każe, uczynię: oyciec jestem, mam prawo rozrządzić losem mojej córki; potym umowiemy ślub: tym czasem muszę iechać do domu, wstrzymać tradycją, y tam będę czekał na Panią y z całą kompanią. *Odchodzi.*

SCENA XII.

CZESNIKOWA *sama.*

Bravo, Cześnikosiu! los ci sprzyja, y wdzięki y rozum twoy wiele dokazują: właśnie myślałam, co zrobię z temi pieniędzmi, które dopiero odebrałam za pewną facyendę; a tak pod imieniem cudzym y kapitał zdubluję, y prowizyika urosnie; y tych śmierzdzących niebofzczyka męża meblów



pozbędę z domu. — Vivat rozum — bravo, Cześnikosiu! Już też Starości nie zostaje tylko pałac w Warszawie, będzie on mój: bo zkażęby pieniędzy dostał na termin? — Każę wybielić, przedań; wezmę przynajmniej 12,000 dusiów, y znowu zdublujemy kapitał. Bravo, Cześnikosiu! Masz rozum.

SCENA XIII.

REWIZOROWICZ, PUŁKOWNIKOWICZ, LUSTRATOROWICZ, SUB-DELEGATOWICZ y CZESNIKOWA.

CZEŚNIKOWA.

Przybywajcie, chłopcy, wieszajcie te głowy tych oczu, y tym oczom tej głowy; oboje się walnie popisują.

REWIZOROWICZ.

Tośmy nie darmo zostawili Panią: coż przecie, kochany Starosta frysz?

CZEŚNIKOWA.

Oy bardzo nie frysz! alem ja go ożywiła, obiecałam mu balsamu życia.



LUSTRATOROWICZ.

Kogożby Pani nie ożywiła! tym ci to oczom cudów dokazywać, umarłych wskrzeszać.

CZEŚNIKOWA.

Prawda, że macie ze mnie nieoszacowaną kobiecinę. Cożście tam widzieli? trzeba nazbierać magazyn nowin, żebyśmy się mieli czym bawić podczas wieczerzy.

SUBDELEGATOWICZ.

Alboż to trudno o to w Saskim ogrodzie? kto zna związki sekretne, kto umie oczy szpiegować, to wiele się nauczy każdym weyrzeniem; a czego nie widzi, to się domysli: a na rzeszcie, kiedy tego potrzeba, żeby się bawić, to skomponuję.

CZEŚNIKOWA.

Już podobno y na komedię późno; piękny dzień, to nam czas zszedł w ogródzie bez komedyi.

REWIZOROWICZ.

A czyż może być lepsza komedia, iak ta, którą my sami dziś w ogrodzie gramy?



użył nam najlepszy aktor, kochany Starosta, iego susepisy nałynyby wietrzne porużyły.

CZEŚNIKOWA.

Znajdujemy go na wieczor w domu, y upewniam was, chłopcy, że nigdy nie byłam tak z upragnieniem przyięta, iak dziś będę; kochany kuzynku — dziękuy mi, dziś, nie zawodnie odbierzesz pierścień zaręczający; ale strzeż się, żebyś się nie zakochał w swoiey przyszłej żonie, stałbyś się pośniewiskiem wszystkich ludzi dobrego gustu; trzeba seymosć prowadzić na naszą wolą, nie na iey humorek.

PUŁKOWNIKOWICZ.

Ja tam nie wiem, co się ze mną dzieie, coście tam WasPaństwo o mnie uradzili: ia do gotowego, byle się bawić dobrze.

CZEŚNIKOWA.

Jeżeli mi się będziez powodował z łagodnością, y jeżeli nie będziez smutnym amantem swoiey żony, jeżeli cię iey pożyteczne ułomności nie będą gniewać, ia będę wiedziała, iak ie dyrygować, y wszystko poydzie dobrze: ale to już wieczor; iedź-



my naprzód do mnie na moment, bo muszę z sobą zabrać pewne papiery, a potem pojdziemy wszyscy do Starosty; za mną chłopcy.

Wszyscy razem.

Bravo, bravo, iedźmy za Panią. *Spiewają.* To to Pani! to to Pani! Dobrodzika nasza.



A K T III.

Teatrum reprezentuje apartament Starosty.

SCENA I.

MICHAŁ y LUIZA.

MICHAŁ.

Coż też to ci Panowie robią! co mogliby być tak szczęśliwi, y dobrowolnie się czynią nieszczęśliwemi.

LUIZA.

Alboż wiesz co nowego?

MICHAŁ.

Wszak tu codzień coś nowego: oto nie pewni jesteśmy dzisiejszey nocy; czy nam tu pozwolą spać; y gdyby nie Pani, podobno byśmy tu już nie byli.

LUIZA.

To wielkie szczęście, że moia Pani ostrzegła sobie zawczasu rząd swoiey własney for-



tuny; u nas wszystko w cichości; prawda, że się nie bawi tak, iak Jegomość, ale się też nigdy nie nudzi, zawsze ma coś do czynienia, y Panna Teresa toż samo: czas im schodzi, choć się nie staraia o to, żeby go zabiać. Co mnie to trochę tęskno bez Panna Łukasza, bo mnie nie ma kto bawić.

MICHAŁ.

Czyn WacPanna tak, iak Pani, zatrudniaj się iey usługą, tak iak ona się zatrudnia, żebyś była szczęśliwą, to zobaczysz, że nie będzieś tęsknić; ia też WacPannie będę pomagał: a gdy uczyniemy zadość powinności, będziemy sobie spokojni; y wiem, że ta dobra Pani pomyśli o tym, żebyśmy byli szczęśliwi.

LUIZA.

Razem oboje? —

MICHAŁ.

Za coż nie? wszak y ia człowiek, iak drugi; gdybyś WacPanna mogła zapomnieć o Panu Łukaszu, tobym y ia WacPannę może zabawił.



LUIZA.

To tam nayłatwiey Panna Łukasza zapomnieć, on mnie bawił tylko czasem: nie raz my się namyślali w oknie stojąc, ośbliwie kiedy kto żyda na ulicy oblił.

MICHAŁ.

Otoż iabym WacPanny tak nie zabawił; bo ia, gdybym widział, że kto y żyda niesprawiedliwie bić, tobym go bronił.

LUIZA.

WacPan widzę bardzo sprawiedliwy, ale Pan Łukasz był śniefzny.

MICHAŁ.

A gdyby też WacPannie przyszło męża wybierać, iakiegobys wołała, czy śniefznego, czy sprawiedliwego?

LUIZA.

O! co na męża, iaki się trafi, byle prędko; nie trzeba teraz wybierać.

MICHAŁ.

Ale gdybyś też WacPanna utraciła dobrą Panią, a dostała takiego męża, cobys na



niego musiała pracować, a onby wszystko przepił, albo przehulał z innemi; tobyś WaćPanna podobno nie była bardzo szczęśliwa; nie prawda?

LUIZA.

Prawda; ale któż was tam zna: rzadko który dotrzyma po weselu to, co obiecał przed ślubem.

MICHAŁ.

Ale czaśem mogłby się taki znaleźć.

LUZA.

O moy Panie Michale! proszę o niego, zaraz za niego poydę, proszę WaćPana wyśwatay mnie WaćPan, za takiego będę WaćPanu zawsze mankiety prałować darmo. (*w tym słyhać dzwonek*) O o! Jeymość dzwoni, byway zdrow, Panie Michale, (*biegnie*).

SCENA II.

MICHAŁ *sam*.

Ten dzwonek zawsze mi na przeszkodzie, kiedy zaczynam dobiiać targu, to mi się coś wmiesza, y popsuje interesy: ale już



już dziewczyna zaczyna poymować, żeby tylko Pańskie sprawy dobrze poszły; bo się bardzo boję tey wizyty wexlowey. — cała nadzieia w Pani. — Co to za dobra Pani! iey słowo tu więcej warto, niż wszystkie wexle.

SCENA III.

STAROŚCINA, TERESA, LUZA,
y MICHAŁ *w oddaleniu*.

STAROŚCINA *idąc mowi do Teresy*.

Jak nam miło będzie teraz użyć świeżego powietrza, kiedy nam dzień zszedł pożytecznie! — Czy nie żałujesz tych ludzi, którzy ustawicznie rokoszcy gonią, a wszędzie się nudzą? my nigdy nie tęskniemy, bo się umiemy bez ustawicznych zabaw obeysć; a kiedy na to przydzie sposobna chwila, im rzadsze, tym bardziej siakują.

TERESA.

Przynajmniej ja za siebie ręczę; ale nie śmiem sobie podchlebiać, żeby zatrudnienie, które WaćPani Dobrodzice daę, bez przykrości było. —



STAROŚCINA.

Jeżeli przyznaiesz mi cokolwiek dobrych ferca skłonności, powinnaś wierzyć, że wszystko, co dla ciebie czynię, jest zabawą, y to jest najpierwszą przyczyną spokoyności moiej: bo znajdując tak łatwą rofkosz w domu, nie szukam obcey; może bez ciebie y iabym tęskniła. Załuję matek, co nie znają prawdziwey rofkosz być matkami.

TERESA, całując matkę w rękę.

Nie spodziewam się zaśluzyc na to, żebyś mnie WaćPani Dobrodzika kiedy oddała od siebie; w poświęceniu icy wszystkich godzin życia, naimiley przyszłość przewidyję.

STAROŚCINA.

Nie, moja Terefo, nie zawsze będziemy razem, trzeba, żebyś sobie obrała męża; poydziesz za losem iego, nie będzie to nigdy moją myślą, żebyś cię miała rozłączać z powinnością dobrej żony.

TERESA.

Jeżeli mi ten wybor pozwolony, szacunek będzie mi powodem. —



STAROŚCINA.

Ten tylko długie oswoienie się z przymiotami człowieka zaśluzyc może; a ty iefczcie nie znasz może, kogo ci los przeznaczył.

TERESA.

Już się zwierzyłam podobno WaćPani Dobrodzice, kto ma moy szacunek, ten mnie zapewne nie będzie oddalał od społeczności matki moiej, bo wie, iak do mego uszczęśliwienia potrzebna.

STAROŚCINA.

Domyslam się: ale czy jesteś pewna iego zamysłów? dotąd nie mówił iaknie, czy chce, czy nie chce; może inne ma ułożenia.

TERESA.

Mówił on ze mną nie raz boiaźliwie, ale kiedy widzę w tym wolą WaćPani Dobrodziki — z takim przyjaciela nie trzeba ostrożności, ile że nadchodzi czas, w którym trzeba oddalić wszystkie prożne nadzieie Pani Cześnikowy, która mnie już dawno swoim kuzynem straszyla; potrzebny ten Jegomość innej społeczności, nie tey w której ja mogę pomyslnosc znaleźć.



STAROŚCINA.

Cieſzy mnie ta nadzieia, oddalać iey nie chcę; ale nie chcę tać przed tobą, żeś winna względy woli oycy, a wiesz, że ma ſwoie ułożenia.

TERESA.

Zmiękcze go uſnoſcią w dobroci iego.

STAROŚCINA.

Będziemy o tym mowić w przeciagu naſzey podróży, teraz iedźmy zażyć chłodu. — Michale!

MICHAŁ.

Moſcia Dobrodziko.

STAROŚCINA.

Czy zaprzężona karetą?

MICHAŁ.

Jeszcze nie. —

STAROŚCINA.

Czemuż? niech ſię ſpieszą.

MICHAŁ.

Ale, bo ia mam iedną proſbę do Pani.



STAROŚCINA.

Powiedz, czego chceſz; ale niech za-
przegaia.

MICHAŁ.

Ale, bo iak ia powiem Pani moją pro-
ſbę, to znowu będą wyprzagać; bo ia Pa-
nią znam: Pani nie wyiedzie, na co proſno
ludzi trudzić?

STAROŚCINA.

Tylko bez tych ogrodek, powiedz, o co
chodzi, bo mi ſię ſpieſzy.

MICHAŁ.

Oto byłem u Jegomoſci tam, gdzie ſię
to Jegomoſć bawi, y zaſtałem go ſamego,
co ſobie drzymał na ławce w Saſkim ogro-
dzie.

STAROŚCINA.

Ale mnieyſza o to, iak ſię bawi, tylko
prędko.

MICHAŁ.

Otoż, Moſcia Dobrodziko, ia nie chcia-
łem przerwać tey zabawki, żeby ſię Pan nie
złakł, iakby ſię nagle obudził, y tak ſobie
ſtałem na boku, y czekałem.



STAROŚCINA.

Ale coż dalej? spiesz się, mój przyjacielu.

MICHAŁ.

Otoż się Jegomość obudził, y mówił do mnie: iak się maśz, Panie Michale; Pa-
ni się domysli, że m ja się uklonił, y odpo-
wiedziałem: dobrze do usług Pańskich; bo
przecie wiem, iak z Panami mówić; nie
pierwsza służba.

STAROŚCINA.

Ale już nie powtarzaj tych kompiemen-
tow; mow o rzeczy, bo ja chcę iechać.

MICHAŁ.

Ale nie pojedzie Pani, ja znam Panią.

STAROŚCINA.

Y coż dalej? —

MICHAŁ.

Oto pytałem się Jegomości, czy będzie
w domu na wieczery? &c. a nakoniec po-
wiedziałem, że tu iakiś Subdelegat z Wo-
żnym, już dawno się skradał na nasz dom,



tylko miał wzgląd na Panią, ale gdyby Pa-
ni wyjechała, to pewna tradycya: w ten
czas Jegomości lzy stąęły w oczach, aż mi
go żal było; y o wieczery zapomniał, y o
gościach, którzy mieli być, tylko mnie
prosił: mój Michale! nawet, mój Panie
Michale! biegay czymprędzey do domu,
proś moiey żony, żeby nie wyjeżdżała ni-
gdzie, poki ja nie powroczę, y ja też przy-
biegłem y proszę Pani.

STAROŚCINA.

Aleś nie ostrożny, mój Michale; gdy-
bym ja też była wcześnię wyjechała? —
Należy także zlecenia pilnię dopełniać.

MICHAŁ.

Oy! pilnował ja na schodach, byłbym
się mostem przed końmi położył, a nie był-
bym Pani puścił; bo mi żal y Pana y Pani
takiey dobrej.

TERESA.

Już nie iedźmy, moia Mościa Dobro-
dziko.

STAROŚCINA.

Nie pojedziemy zapewne: y owszem,
kochana, Tereśo, teraz powinność naszą



tak ułożyć interesa, żebyśmy męża mego uwolniły z tego zatrudnienia nie dając ludziom sceny: muszę się w moich papierach, w kleynotach, y w srebrach przeżyć, wybrać, bez czego się obejść można; wszak na podobną dla oycy przyługę, nie będzieś tych próżnych ozdób żałować? — Podchlebiam sobie, że ich nie potrzebuiesz.

TERESA.

Gdyby mi najpotrzebniejszy były, chętnie uczyniłabym ofiarę: ale co mogło oycę mego wprowadzić w to nieszczęście?

STAROŚCINA.

Ma serce dobre, ale zbyt jest łatwy, o wszystkich według siebie sędzi, otoczony ludźmi, którzy żyją bez celu, potrafili mu obrzydzić środzicy domowego życia, przywykł do hałasu, nie może się oprzeć siłom zdrady; nie ma czasu uwagi uczynić, iak szukając rokoszy, oddał się od uszczęśliwienia; najciężej wpaść na tę drogę, to najlepszy człowiek musi błędzić, y najbogatszy zniszczyć.



SCENA IV.

ZACNIEWSKI y dawni.

STAROŚCINA.

Spodziewałam się Wać Pana prędey.

ZACNIEWSKI.

Bardzo to jest podchlebne dla mnie przywitanie, ale nie chciałem przeszkadzać zabawom Pani, bo wiem, że są przykładne y miłe; niektóre rozporządzenia domowe przytrzymały mnie. — Nie jestem tak szczęśliwy, iak Jegomość Pan Starosta, nie mam się komu powierzyć z tą sprawiedliwą usnością, z którą on zostawia dom pod władzą Pani.

STAROŚCINA.

Bardzo wdzięczna mężowi memu, że mi pozwala tego zatrudnienia; bo prawdziwie bez tego wiele godzin życia byłoby nudnych. Zostawiam cię tu, Tereśo, z Jegomości Panem Zacniewskim, wiesz, co mam do czynienia.

ZACNIEWSKI.

A Pani miała się przebiehać do ogrodu?



STAROŚCINA.

Prawda, ale mam jedno zatrudnienie, które pierwey ułatwić muszę. — Tereśo, nie dayże tu tęsknić Jegomości; ia tu wkrótce powroczę. *Odchodzi y Michał.*

SCENA V.

ZACNIEWSKI y TERESA.

TERESA.

Nie wiem, czy potrafię wykonać wolę matki moiey; nie chciałabym, żeby Wać Pan tęsknił ze mną.

ZACNIEWSKI.

Podobno ia powinienem mieć tę boiaźń; wiem, wiem, że piękną Tereśę to tylko bawi, co ia interessuje: slyszalem o projektach Jmci Pana Starosty.

TERESA.

Jakież są? bo ia nie wiem o niczym.

ZACNIEWSKI.

Pani Cześnikowa swego kuzyna chce uczynić szczęśliwym; nie dziwiuję się temu,



znać, że mu bardzo dobrze życzy, y dała to poznać nawet ludziom, mnie nieznaiomym, że jest pewna swego ułożenia.

TERESA.

WMPan dawny moiey matki y moy przyjaciel, czy życzyfz mi tego?

ZACNIEWSKI.

Nie dosyć znam człowieka; zbyt mnie interessuje los Tereśy, radbym w tym wiedział samey WaćPanny Dobrodziki zdanie, które zawsze doskonałe znałem.

TERESA.

W podobnych przypadkach więcej trzeba przyjaciółom wierzyć, iak sobie; bo raz zbłądziwszy, trudno naprawić losu: ia mam WaćPana za nayszczliwszego przyjaciela, y bardzo chętnie za tego zdaniem poydę.

ZACNIEWSKI.

A gdyby też ten przyjaciel, na ktorego zdaniu WaćPanna Dobrodzika chcesz polegać, lepiej sobie życząc, iak drugim, za sobą mowił? to oczywiste niebezpieczeństwo dla WaćPanny Dobrodziki.



TERESA.

Zbyt przyzwyczajona jestem do dobrych rad tego przyjaciela, z którym mówię, że bym się wzdrygała podobnego od niego oświadczenia.

ZACNIEWSKI.

Czyż mogę temu ufać, co mówisz, słiczna Tereśo? —

TERESA.

Możesz WaćPan, y powinieś, jeżeli mnie znasz. —

ZACNIEWSKI *całując ją w rękę.*

Ah! zbyt szczęśliwa otwiera mi się nadzieia!

SCENA VI.

STAROSTA *zamyślony, y dawny.*

TERESA.

Coż ja to widzę! mój oyciec pomieszany, smutny — Coż WaćPanu Dobrodzieiowi? *całuje ojca w rękę.* Niechże wiem,



co za przyczyna tego smutku; WaćPan Dobrodziey powracał z zabaw wesółych.

STAROSTA.

Dałem ja sobie z zabawami!

TERESA.

Ale coż przecie?

ZACNIEWSKI.

Jeżeli można WaćPanu Dobrodzieiowi być w czym zdatnym, chętnie przyjmę na siebie obowiązek.

STAROSTA *do Tereśy.*

Nie możnaby się tego gościa pozbyć, bo mam z tobą do mówienia.

TERESA.

Prawda, że Jegomość Pan Zaczniwski dawny domu naszego przyjaciel, nie masz przyczyny, żeby się go strzedz; ale kiedy taka wola oycowska, wiem, że chętnie ustąpi. *Do Pana Zaczniewskiego.* Proszę WaćPana, żebyś mi pozwolił z moim oycem w osobności pomówić.



ZACNIEWSKI.

Jeżeli nie mogę być tak szczęśliwy, że-
bym się zdał na co Jegomości Dobrodzieio-
wi, pokuszeństwo przynajmniej niech bę-
dzie dowodem, iak pragnę spokoyności
iego.

SCENA VII.
STAROSTA y TERESA.

STAROSTA.

Czy wiesz, moja Terefo, o nieszczęściu
moim? zruynowany zupełnie jestem.

TERESA *z łzami, całując rękę oycy.*

Czuję nieszczęście, ale kiedy mi wraca
uśność oycy, nie jest ten los bez nadziei.

STAROSTA.

Cała moja nadzieja w tobie, kochana Te-
refo; ośmieliłem się przyrzec cię za żonę
człowiekowi, którego przyjaciele obiecali
mnie na iakiś czas wyrwać z tej niespokoy-
ności; musiałem to uczynić, — wybacz.

TERESA.

Chętnie z siebie uczyniłabym ofiarę dla
uwolnienia z trosk oycy mego; — ale —



STAROSTA.

Wybacz Terefo, nie masz tu żadnego
ale; trzeba tu dziś wziąć tę rozmyślność, nie
masz czasu do tracenia, chyba zechcesz hań-
by moiej.

TERESA.

Niech mi się godzi wiedzieć przynaj-
mniej, komu przeznaczona jestem: wszak
wielu, rozumiem, znalazłoby się przyjaciół,
chcących tę usługę uczynić oycu memu,
który tak był zawsze wylany dla przyja-
źni. —

STAROSTA.

Wiele takich przyjaciół! — wiele takich
przyjaciół! — ah! corko moja! nie znalazł
ludzi.

TERESA.

Może nie znam tych, którzy tylko w
dobrym losie otaczali WacPana Dobrodzie-
ia, ale znam takich, którzyby go w nieszczę-
ściu mogli pocieszyć.

STAROSTA.

Nie mam ja żadney inney nadziei, tylko
w Cześnikowy; ta kobieta przez rozum



wsparta mnie do iakiego czasu; przez nie dziś pozbędę naygwałtowniejszego dłużnika; ale musiałem przyrzec, że cię wydam za iey kuzyna: coż tedy wolisz, czy mnie widzieć nieszczęśliwym, czy szczęśliwym przynaymnię na iaki czas ieszcze?

TERESA.

Wybacź mi, oycze, ale w tym szczęściu, ktore sobie obiecujesz, nie gruntowniejszego nie widzę; iest to tylko na iakąs chwilę oddalić, a może potym zwiększyć umartwienie: gdybym zaś y ia nieszczęśliwą z tey przyczyny była, takbyim została na całe życie, y ufam w dobroci oycy mego, żeby na to cierpiał. —

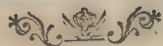
STAROSTA.

Ale za coż nieszczęśliwą? czy to ten mąż, czy inny; teraz nie trzeba przebierać, a interes mi ułatwisz. —

TERESA.

Ja w mężu przyjaciela potrzebuję: co się tycze interessu, nie spodziewam się, żeby y mnie y oycy mego do tey ostateczności przymusił; wiele ufności pokładałam w matce moiey.

STA-



STAROSTA.

Ja już twoiey matce nie wspomnę o niczym: wstydzę się błędów moich; tak byłem szczęśliwy przez nie, a tak mało umiałem być wdzięczen.

SCENA VIII.

MICHAŁ y dawni.

MICHAŁ *prędko wpada.*

Mości Dobrodzieciu! ten nieszczęśliwy subdelegat z woźnym chcą tu wnieść gwałtem do domu; spotkali się z Panem Zacniewskim, y umawia się z niemi, on ich chce prowadzić do siebie — ręczy za wszystko, ale oni mu nie wierzą. — Wielkie się tam historye dzieją w bramie. *Tu slychać hałas w bramie.*

STAROSTA.

Proś tu Jegomości Pana Zacniewskiego; nie chcę, żeby się próżno wystawiał na napaść: powiedz tym ludziom, że ia tam zaraz do nich wyidę, że pieniądze będą, we-xle zapłacę, czekam tylko na Panią Cześnikową, kilka minut wżysko zrobi; biegay

G



prędko, a naybardziej o to proszę, żeby
moja żona nie wiedziała. *Michał odchodzi.*

STAROSTA do *Terefy*.

Widzisz, moja Tereso, że to nie żart;
przykroby ci podobno było widzieć mnie
osławionego za bankruta: namysł się, po-
ki jeszcze czas, bo Cześnikowa zaraż tu bę-
dzie z pieniędzmi, a zapewne ich nie da,
jeżelibyś miała być przeciwna memu ułoże-
niu.

TERESA.

Widzę ia to, że daleko zażyły obowiązki,
ale śniem ufać jeszcze; nie łatwa jestem do
rozpaczy. Matka moja przyzwyczaiła mnie
do tak iasnego naywiększych trudności roz-
wiązania, że iey rada wszystko mi obiecuje:
poydę do niey, y spodziewam się wkrótce
tu z pomyslnieyszą wrocić wiadomością.
odchodzi. Ufność w tak dobrej matce nay-
pewnieyszą w troskach pociechą.

SCENA IX.

STAROSTA *sam.*

Nie wierzę ia temu; tu gotowych pienię-
dzy potrzeba, nie rady moiej żony: już to



dziś nierychło ufać bez żadney ufności przy-
czyny; tylko jedna Cześnikowa z swoim
przyjacielem może mnie wydzwignąć; pra-
wda, że lichwa okrutna, ale coż czynić?
jużze kiedy potrzeba, nie można nic uwa-
żać. Naybardziej się boję, żeby moia cor-
ka nie popsuła roboty, nie śniem iey przy-
muszać, nic mi nie winna, tylko życie, a
życie nie jest naywiększy dar oycy, jeżeli
ufzczęśliwienie tego życia od niego zanied-
bane; wszystko winna matce, y iam iey tak
wiele winien.

SCENA X.

ZACNIEWSKI y STAROSTA.

ZACNIEWSKI *wpada z niespokoj-
nością.*

Ah! Mości Dobrodzieiu! czemuż też
WacPan Dobrodziey nie przestrzegłeś do-
mowego przyjaciela swego, że małż intere-
sa potrzebujące ułatwienia? wszak powinie-
neś wiedzieć iak mi spokojność tego domu
jest miła. — Przypadkiem spotkałem się z
ludźmi zestanemi na zgwałcenie tey cichey
szczęśliwości, ktorey tu zawższe używałem;



dowiedziawszy się od nich, po co idą, uprosiłem przecież moment czasu, żebyim mógł do mego domu doysć, y znaleźć sposob odalenia napaści. Już WacPan Dobrodziey możesz być spokojny. *Oddaie mu wexel.*

STAROSTA.

Co mówisz, zacny przyiacielu? coż to ja widzę!

ZACNIEWSKI.

Nic WacPan Dobrodziey nie widzisz, czegobys sam, widząc mnie w podobnym przypadku, nie uczynił.

STAROSTA.

Ale, iakże ja mogłem tyle przyiaźni zasłużyć?

ZACNIEWSKI.

Czyż mnie WacPan Dobrodziey nie sądził godnym, żebyim ci tę przysługę uczynił?

STAROSTA.

Ale nie chcę być przyczyną zatrudnienia WacPana.



ZACNIEWSKI.

To, co mam honor dziś mu dać, jest u mnie zawsze składem przyiaźni, odma-
wiając sobie zbytne wydatki bez wszelkiej
trudności, corocznie małą część dochodów
odkładałem, by w potrzebie przyjaciółom
moim mogła być zdatna: nigdy tey kasy
inaczej nie używałem. — Nie krzywdzę
sam siebie, a te są najszczęśliwsze chwile
życia moiego, kiedy ja mogę tak chętnie,
iak dziś, ofiarować.

STAROSTA.

Ah! zacny przyiacielu! dziwiś mnie, y
poniżasz: dopiero widzę, iak często nie-
sprawiedliwym byłem.

SCENA XI.

CZESNIKOWA, PUŁKOWNIKOWICZ,
SUBDELEGATOWICZ, LUSTRATO-
ROWICZ, REWIZOROWICZ,
STAROSTA y ZACNIEWSKI.

CZEŚNIKOWA.

Przywiezłam WacPanu to grono zacnych
chłopców, są to ofiary przykute do wszy-
stkich moich tryumfów; przywiezłam także



y tę pomoc interesom iego; ale nie uwierzyśz, z jaką mi to trudnością przyszło, nie mogłam mego przyjaciela namowić z sobą; a te meble, karetą, karabele, pasy, y fol zaraz przywiozą. Znayże WacPan przyjaźń moję; y podpisał ten papier. *Dać mu wexel do podpisania.*

STAROSTA odbiera ten papier, y daie go Zacniewskiemu do czytania.

Będę wiedział, iak tę łaskę Pani oszacować. — Pozwoliśz WacPani Dobrodzika, żeby moy przyjaciel przeczytał to pisimo, nim go podpiszę. —

Zacniewski, czyta na boku.

CZEŚNIKOWA mowi.

Co? Pan Zacniewski WacPana przyjaciela? a to nowa rzecz dla mnie! y WacPan się tak z ladaiakim przyjaźnił? zawsześmy z sobą bardzo zimno byli, iak zwyczajnie z prostym szlachcicem. — Wiedziałam iak o tym, że go żona WacPana cierpi w domu, y nie dziwowałam się temu? może on być dobry do iey szpiczlerzowych zabaw, ale co po WacPanu, tom się nigdy podobney podłości nie spodziewała; pfe, fida



Starosto! iesteś człowiek, *du grand mond*, a chcesz się podobnym związkiem osmolić.

REWIZOROWICZ.

Y iak wyznaię, zem się tego nie spodziewałem; wkrótce nie będzie z kim żyć w tey Warszawie, jeżeli nam się ieszcze Starosta wda w takie kompanie.

PUŁKOWNIKOWICZ na boku.

Potrafię iak w to, że ten Jegomość nie długo będzie w domu, iak tylko Teresa będzie moją.

LUSTRATOROWICZ na boku.

Bardzo iak się boję, żeby on dłużej w tym domu niezabawił, iak my; bo my żyjemy y bawimy się bez żadnego celu, tylko żeby się bawić, a ten Jegomość z cicha podobno lepiej do swego celu wymierzył.

SURDELEGATOWICZ na boku.

A gdzie! to flegmatyk; on się nigdy nie ożeni, on tylko chce być przyjacielem kobiet, a Teresi czegoś więcej trzeba, iak przyjaźni.



STAROSTA *po długim zamyśleniu.*

Zbyt łatwo WaćPaństwo sędzicie o człowieku, którego żeby znać y oszacować, czego wart, trzeba wprzód z własnemi porachować się przymiotami; czy my jesteśmy warci, aby się taki człowiek stał naszym przyjacielem.

CZEŚNIKOWA.

A! to słizny komplement! my nie warci Pana Zacznińskiego. — Ja sobie Cześnikowa; Ichmość wzyłycy urzędnicy: ha, ha, ha, moy kochany Starosto, radotulisz. —

STAROSTA.

Nie mówię do WaćPani Dobrodziki; dama jesteś, winniśmy ci respekt, ale sam siebie nie ochranjam, powtarzając, że tyle, ile poznałem tego człowieka, to nie my jego przyjaźni unikać, ale on naszej mogłby sprawiedliwie.

CZEŚNIKOWA *ze wszystkiemi.*

Ha, ha, ha, ha! a moy Starosto, coż z ciebie za heretyk! ha, ha, ha! — Po-kiż on będzie ten wexel przewracał? Mości



Panie hey! skończże WaćPan prędko, bo tu trzeba podpisać.

ZACNIEWSKI.

Ten dowód przyjaźni WaćPani Dobrodziki, dla Jegomości Pana Starosty, wart, żeby się nad nim zastanowić; jest nowy dla mnie.

CZEŚNIKOWA.

Wierzę, wierzę; nie tak zimni przyjaciele, iak WaćPan, mogą pojąć gorącość przyjaźni moiej dla Starosty.

ZACNIEWSKI *z ukłonem.*

Może to być; ale ten przyjaciel, którego tu wexel widzę, musi być naywiększy lichwiarz na świecie: takich przyjaciół wiele mając, można z naylepszym losem wkrótce się rozstać.

CZEŚNIKOWA.

Coż to jest, Mośpanie Starosto? w domu WaćPana moich przyjaciół będzie Jegomość osławiać? — chłopcy, do pałaców! — za moy honor rozświecać Jegomości.



Rewizorowicz, Pułkownikowicz, Subdelegatowicz y Lustratorowicz, biorą się do broni razem.

ZACNIEWSKI.

Powoli, Mościwi Panowie; ten dom wart uszanowania, ia się kupy nie boię, ale proszę z sobą na ulicę. *Chce wychodzić.*

CZEŚNIKOWA.

Przepraszam, przepraszam; ia Ichmościow na ulicę nie puszczę, oni mi tylko do obrony ciała służą: zawsze przy mnie chłopcy.

ZACNIEWSKI *wracając się.*

Znaydę ia Ichmościow: nikt się na mnie nie porywał do broni bezkarnie.

CZEŚNIKOWA.

Coż ia to widzę? nową rzecz odkryłam, moy Starosto, w tym twoim przyjacielu; on widzę burda; nie zna się na żartach.

REWIZOROWICZ, PUŁKOWNIKOWICZ, SUBDELEGATOWICZ Y LUSTRATOROWICZ,

My tylko żartowali, a Jegomość się zaraz uraża. —



STAROSTA.

Nie życzę WaćPanom więcej tak żartować z szufnemi ludźmi; bo przepuszczenie iego was krzywdzi, a skutek żartow może was daleko zaprowadzić.

CZEŚNIKOWA.

Ale, moy Starosto, już kończmy iedno, podpisz WaćPan ten papier, a iak żona Wać Pana przydzie z Teresą, to skończemy drugie z moim kuzynem. — Mości Panie Zacniewski, dayże WaćPan ten papier Staroście; już się nie gnieway, moy Zacniewsiu, ia tylko z moimi chłopcami żartowała; wszak widziałeś, że nie bardzo porywczy; a WaćPan zaraz w pasyą wpadałz: pfe! Zacniewsiu.

ZACNIEWSKI.

Ja dla damy zawsze iestem z uszanowaniem. *Kłania się iey nisko.* Ale na dowod tego, że nigdy nie pozwolę, żeby Jegomość Pan Starosta ten szkaradny dekret na własny los podpisał, rozdieram go. *Tu Zacniewski wexel na drobne papierki rozdiera.*



CZEŚNIKOWA.

Ah gwałtu! słabo mi: Kolońskiey wodki, balsamu vitæ — lodekarmi. —

ZACNIEWSKI *przystawia stołka Cześnikowy.*

Sięć WaćPani Dobrodzika, będzie wygodniey omdlewać.

CZEŚNIKOWA.

Dobrze ci tak, Mości Panie Starosto; patrzay, iakiegoś wybrał przyjaciela, cały interes zepsuł.

STAROSTA.

Pierwey go naprawił; y postępek iego nie żdziwił mnie, bo go znam, ale mnie oświecił. *Pokazuje wexel zapłacony.*

SCENA XII.

STAROŚCINA, TERESA, y dawni.

CZEŚNIKOWA.

A! chwała Bogu, że Starościna idzie: jeżeli się iedna kategorya nie udała, to przynajmniej druga. — Witam moią Panią



ferdeczną. — *Starościna y Teresa kłaniaią się z skromnością.*

STAROŚCINA *mowi.*

Przepraszam, że m nie wiedziała o przybyciu WaćPani, byłam zatrudniona: — moy mężu, za coż mnie WaćPan nie kazałeś zawołać; miło mi, kiedy WaćPana widzę w domu.

STAROSTA *całując żonę w rękę.*

Rozumiałem, że Teresa wzięła to na siebie.

CZEŚNIKOWA.

Ja, iako przyjaciółka Starosty, chciałam mu usłużyć w interesach, ale widzę uprzedzona jestem: przynajmniej spodziewam się, że kochany Starosta nie cofnie słowa swego dla mego kuzyna, wszak to między nami nie trzeba wielkich ceremonii. —

STAROŚCINA.

Coż za przyśluga, o ktorey Jeymość Pani Cześnikowa wspomina? moy mężu, spodziewam się, że przynajmniej w domowych zatrudnieniach mnie dasz pierwszość do uczynienia ci przyślugi.



STAROSTA *skazując Zaczniwskiego.*

Nie dał mi czasu ten zacny przyjaciel y wspomnieć WaćPani o moich kłopotach; nie dał mi czasu nawet tey uwagi uczynić, iak wiele traciłem, oddalając się od iedyney społeczności, która mnie mogła uszczęśliwić. — Wszystko zaspokoił: oto wexel.

STAROŚCINA.

Znayże, moy mężu kochany, co to za przyjaciel!

CZEŚNIKOWA *do ludzi.*

Jakże ta Starościna piwowarskim tonem mowi: wszystko, moy mężu, moy mężu; za co nie Monsieur: widzę y on wkrótce nauczy się mówić: moja żono, moja kochana żono: coż, to za ton paskudny y nienaturalny!

ZACNIEWSKI *do Starosty.*

Jeżeli mi WaćPan Dobrodziey chcesz uczynić łaskę, to więcęcy nie mów mi o tym.

STAROŚCINA.

Ja nie jestem mniej wdzięczna Jmci Panu Zaczniwskiemu, aleby mi krzywdę uczy-



nił, żeby nie odstąpił dla moiey przyjaźni tey uczynności, którą odemnie tylko przyzwolicie mąż przyjąć może. — Jeżeli co potrafi mi nadgrodzić, dobrze. — Rozządzenie intrat, których mi ustatpił; to gdy te dochody, bez których się obeysć mogłam, pomogą interessom iego. — Mości Panie Zaczniwski, oddaę WaćPanu kłuczyk od szkatuły moiey, w ktorey znaydziesz sumnę tak przykładnie dla przyjaźni użytą. Zebym cię zaś, kochany mężu, na zawsze spokoynym uczyniła, oddaę ci tu dziesięć wexlow innych dawniey zapłaconych, ktoremi nawet ci Ichmość, co się twemi przyjaciółmi nazywają, chcieli ci szkodzić: nie wymawiajże mi teraz, jeżeli, w osobności żyjąc, uczyniłam powinność moją.

STAROSTA.

Tak niespodziewana, bo niezastużona szczęśliwość przewyższa wszystkie nadzieie moie.

ZACNIEWSKI *do Terefy.*

Co to za matka! co to za żona!



TERESA *całując w rękę matkę.*

Co to za nauka dla mnie!

CZEŚNIKOWA.

Ale moje Państwo, nic mi nie odpowiadacie na moje wniesienia: moy kuzyn radby wiedzieć ich wolę.

STAROSTA.

Ja nic nie obiecałem, coby mogło córkę moję zrobić nieszczęśliwą; ale te wętle, które z rąk moiej żony odbieram, są znajome WaćPani, y tym Ichmościom widzę: im było pilno korzystać z mego nieszczęścia; żebym zaś WaćPanią y Ichmościow uspokoił, zostawiam moiej corce wolność wybrać, który z przytomnych tu wart być iej matki zięciem, y iej mężem. — Terešo, powiedz swoje zdanie.

TERESA *zbliżając się do Zaczewskiego,
y daie mu rękę.*

Nie zamyslam się nawet nad tym; cnota y wdzięczność temu ją ziednała, y już dawno obiecała wyborem.

STARO-



STAROSTA *do Zaczewskiego.*

Ah przyjacielu! czemużes mi się nie zwierzył?

ZACZEWSKI.

O tak wielkim uzcześliwieniu zawsze powątpiwać skromność każe.

CZEŚNIKOWA.

Otoż masz! te sceny patetyczne, wcale nie w swoim czasie. — Poydźcie chłopcy; nie ma tu co robić między temi Ichmościami. Mości Panie Starosto, wpadniez WaćPan ieszcze w moje siła: nie tacy to do mnie się wracali! znam ia, iak długo te sentymenta trwają. — Adieu, wierny mężu, y wierna żono. — Kłaniam Mościa Panino Terešo, żałuję cię, że nie poznałz świata: szkoda tych oczu! nie dla iednego męża się urodziły.

PUŁKOWNIKOWICZ.

Widzę z nas zażartowali nieszpetnie; iam już kazał trzy stoły do faraona zrobić, y dwa do kwindeczy, y kart w fabryce na cztery lata obśztałowałem takich, iak mi potrzeba.

II



CZEŚNIKOWA.

Podźmy chłopcy do Saskiego ogrodu, tam kapela brzmi; prędko się ukonstulujemy w ulicy wzdychających.

MICHAŁ *wyprowadzając tych gości do drzwi, mówi:*

Szczęśliwa droga, na raki y na lody.

SCENA XIII.

STAROSTA, STAROŚCINA, TERESA,
ZACNIEWSKI, MICHAŁ y LUIZA.

STAROŚCINA.

Kochany mężu! jeżeli cię to nie bawi zostać z nami na wieczery, czyń, co chcesz; ale jeżeli zostaniesz, miło mi będzie ten dzień uszczęśliwienia moiej kochaney Teresy strawić z tobą. —

STAROSTA.

Już mnie masz zupełnie za swego, kochana żono. — Tłok sówizdrzałów wciągnął mnie w to nudne prężniaków życie, które nazywali zabawą; wpłatali mnie w zły interes, y musiałem się już prawie w ro-



spaczy powodować: ale jeżeli mi pozwolisz wrocić do domowej szczęśliwości, y jeżeli ten zacny przyjaciel, zostawszy zięciem naszym, będzie żył z nami, y my z Teresą; — ożyję z waszey łaski, y nazawsze się wyrzekam nudnego bez celu pod imieniem zabaw życia.

MICHAŁ.

A Wielmożny Panie, kiedy cię już Bog nawrocił, coż też przecie za życie będziemy prowadzić? — Jeżeli się Pan będzie jeszcze bawić, od Saskiego ogrodu do Łazienek, od Łazienek, do Wilanowa, od Wilanowa, do Woli, codziennie jeżdżąc, toć ja muszę o żonie zapomnieć; bo kiedyżbym miał czas być iey mężem? a iabym też przecie dla siebie rad mieć żonę, nie dla drugich: jeżeli zaś spokojne życie zaczniemy, tobym y ia przecie przy protekcji Pańskiej o Luizie pomyślał, lubo ona często wspomina Pana Łukaszę; iednak w niebytności Jegomości, dobry y Pan Podstarości.

STAROSTA.

Y ty, pocziwy Michale, wieleś mi pomógł do wybrnienia z kłopotów. Luizol!

H 2



małz dobrego człowieka, daż się podobno
namowić; ia o pośagu pomysle.

LUIZA.

A jużci, Mości Dobrodzieiu, żeby mnie
nie było tęskno; Pan Łukasz, czy się wro-
ci, czy nie wroci: day rękę Panie Michale.

STAROŚCINA.

Niech y oni będą szczęśliwi: ten dzień,
ktory mi w mężu wraca, a w zięciu daie
przyaciela, powinny czuć wszystkie serca
tkliwe na głos cnoty.

